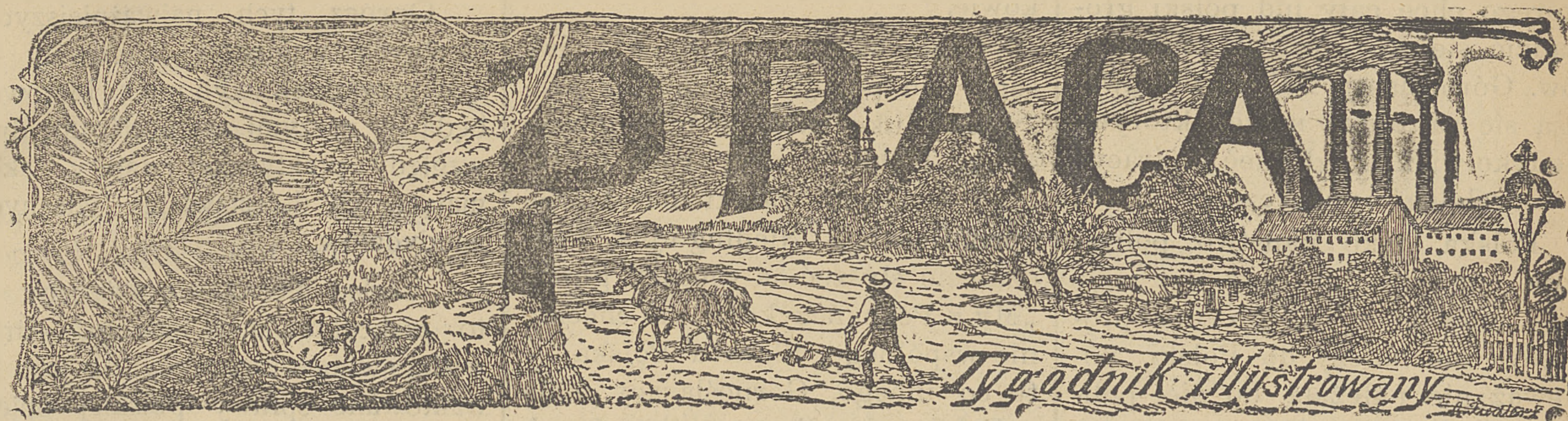
Nr. 42. Poznań, Niedziela 20-go Października 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
Pod opaską: w Niemczech **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.**, *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Górnoślązacy — a Polacy.

Smutnej dziś zamierzamy dotknąć sprawy: z samego tytułu, który w uszach każdego prawego Polaka i obywatela niemiłym dyssonansem się odezwie, każdy się domyśli, o czem to mówić chcemy: o tym nieszczęsnym objawie prowincyonalnego patryotyzmu, który dziś spotykamy u części polskiego górnośląskiego duchowieństwa i części inteligencyi.

Wyobrazicielem tych dążności był do końca życia ks. Engel. Mówił on wprawdzie po polsku, bronił praw ludu górnośląskiego wobec germanizatorów, ale na zapytanie czem jest, nie był w stanie odpowiedzieć: jestem Polakiem — lecz: jestem Górnoślązakiem, — w tem znaczeniu, że Górny Śląsk to coś odrębnego od reszty Polski.

Na tych to ludziach opiera centrum swoje nadzieje, bo oni, nie chcąc szukać wspólności z resztą Polski, szukają jej z centrum.

Ci panowie mówią: „Polska istniała przez tyle wieków odrębnem życiem państwowem, a Górny Śląsk istniał też odrębnie. Nie mamy zatem żadnej wspólności tradycyi, jaką dzieci jednego narodu mają i mieć muszą. My, Górnoślązacy, jesteśmy Górnoślązakami, a nie Polakami — bo Polak, — to nazwa przywiązana do historycznego rozwoju społeczeństwa w państwie polskiem, a myśmy, Górnoślązacy, udziału w tym rozwoju nie brali.“

Jak zgrzyt żelaza po szkle, jak echo nowej Targowicy, jak nowy podział Polski — tak uderzają takie słowa w serce całego polskiego narodu i budzą w niem roje bolesnych uczuć. Tłumnie się cisną uporczywe myśli do głowy, że myśmy się jeszcze widocznie i w niewoli niczego nie nauczyli, a nieszczęść mało nam było, że pod obcym obuchem nie chcemy się łączyć i jednolitem pasmem obrony otoczyć zagrożone ziemie ojczyste.

Straszne czasy nadeszły: dzieci wypierają się matki — Polski; ci, co lud polski na Górnym Śląsku prowadzić powinni w objęcia całej Ojczyzny, twierdzą, że bliższem im jest niemieckie centrum, niż całe społeczeństwo polskie i jego program samoobrony.

A choć nie odważyliście się panowie publicznie tego zdania wypowiedzieć, że „Górnoślązak co innego, a Polak co innego“ — to przecież jednak wymówiliście je dość głośno, abyśmy je usłyszeli.

Nie, panowie dzisiajsi przewodnicy ludu polskiego na Górnym Śląsku! Tą drogą nie dojdziecie do celu — a swemu własnemu znaczeniu i wpływom tylko grób kopiecie: bo lud polski na Górnym Śląsku poznał już dostatecznie, że *choć niema on wspólnych z całą Polską tradycyi z tych czasów, gdy nasza Ojczyzna była wolna, wielka i potężna, — to przecież ma on dość duże tradycye wspólne z resztą ziem polskich z tych czasów, gdy lata w historyi podwójnie liczyć się będą — na tradycye wspólnego nieszczęścia i ucisku.*

To samo jarzmo, które uciska nas w Poznaniu, lub w Grudziądzu, gniecie nas w Opolu i w Bytomiu: my wszyscy wspólną niedolę cierpimy i jeśliby nic innego nas nie łączyło, jeśli by nas odgradzała historyczna przeszłość Polski, to i tak dość dużo nas łączy — bo wspólne nieszczęście.

„Wspólny ucisk — wspólna obrona!“ Takiem jest hasło, w imię którego chce cały lud polski gromadzić się koło swych przywódców. Górnośląscy Polacy nie uważają się za osobny szczep, któryby kiedykolwiek mógł mieć aspiracye do odrębnego politycznego bytu!

Polska, jako państwo polityczne, nie istnieje: czyż jest więc sens mówić, że ta, lub owa prowincya nie należy do Polski, ponieważ nie należała do niej politycznie? Polityka idzie swoim torem, a prześlizguje się ona ponad głowami narodu, mało co zmieniając w jego kształtach, na urobienie których wieki się złożyły.

I przecież minęło już stulecie z okładem, odkąd Polska przestała istnieć jako samoistne państwo, — a *jednak Polska istnieje — jako naród, jako jedność nie polityczna, ale etnograficzna;* to znaczy: *tam wszędzie jest Polska, gdzie dźwięk mowy polskiej się rozlega,* gdzie lud polskim językiem Pana Boga chwali. W innem znaczeniu, jak w tem, żadna prowincya nie jest polska — bo żadna nie ma samoistności politycznej: ale w tem znaczeniu, w znaczeniu językowem — *Górny Śląsk jest tak samo dobrze cząstką Polski, jak Księstwo Krakowskie, lub Poznańskie.* A nawet może więcej praw ma do nazywania się Polską, niż którakolwiek z innych prowincyi polskich. Jedź bowiem bracie na Górny Śląsk, zajrzyj pod strzechę włościańską, pomów z ludem, a przekonasz się, że tam i serce polskie złote, język czystszy i mniej obczyzną przesiąkły, — a nieraz na ścianie chaty włościańskiej znajdziesz jak relikwie zawieszony *„poczet królów* **polskich!“**

Goryczą przepełnione jest serce nasze, że wogóle zachodzi potrzeba rozszerzać się o tych rzeczach, które każdemu z nas w sercu są zapisane głęboko, a święcie: ale odzywamy się do was, nasi przyjaciele na Górnym Śląsku, dawajcie baczenie, na każdym kroku zaznaczajcie, żeście Polakami, że na Górnym Śląsku równie żywo bije uczucie przywiązania do wspólnej naszej Ojczyzny w kajdanach, jak w Poznaniu, lub Krakowie.

Gromada czarnych duchów, jak sępy nad pobojowiskiem, już krąży nad ukochaną ziemią górnośląską i chce zdrowy ruch polski ująć w ciasne ramki odrębności górnośląskiej. Niedługo już, a zaczniecie słyszeć na wiecach głosy: „My z Poznańczykami nie chcemy nic wspólnego, Śląsk a Polska — to co innego, Górnoślązacy mają z Polakami tylko wspólny język a zresztą nic!“

Przygotujcie się na tę chwilę, abyście tym ludziom, gdy tak do was przemawiać zaczną, mogli rzucić w twarz głośne słowo oburzenia: *Precz!*

Vester.

Wybory na obczyźnie.

Wspominając w poprzednim numerze na tem miejscu o zamiarze Polaków dortmundzkich, aby postawić do rady miejskiej własnego kandydata, nie sądziliśmy, że wskutek jednostronnie zabarwionych informacyi niektóre pisma nasze zrobią Polakom w Dortmundzie zarzut z ich chwalebnego zamiaru. To nas dziś skłania do obszerniejszego omówienia tej kwestyi i oparcia jej na ogólnym gruncie politycznych warunków bytu naszych wychodźców. Informacye, oparte na zebranych przez nas a ścisłych materyałach, pozwolą dyskusyi publicznej o tym przedmiocie oprzeć się na gruncie rzeczywistości, a wyjść poza ramy komunałów.

Podając swego czasu projekt postawienia polskiej kandydatury na obczyźnie, uskuteczniony z takiem powodzeniem w Duisburgu, zaznaczyliśmy cały szereg idealnych korzyści rozbudzenia narodowego, które wychodźcom naszym przynosi głosowanie „na swego“ w powszechnych wyborach do parlamentu. Fakty istotnie potwierdziły nasze zapatrywania. W ślad za wyborami przyszło niezmierne ożywienie ruchu narodowego wśród naszych wychodźców w Westfalii.

Oprócz tych najważniejszych, idealnych względów, kierowały — i w przyszłych wyborach kierować będą — naszymi wychodźcami dwa względy praktycznej natury, skłaniające ich do stawiania własnych kandydatów.

Wzgląd pierwszy praktyczny — to zaakcentowanie naszego stanowiska wobec arogancyi, z jaką są traktowane sprawy polskiej opieki duchownej przez centrum.

Wzgląd drugi praktyczny — to wpływ i oddziaływanie na kraj, na Górny Śląsk. Wiemy z usposobienia ogółu, że wybory duisburskie w tym kierunku nie minęły bez wrażenia: skoro wychodźtwo polskie głosuje na Polaka, to przecież niesposób, aby w kraju panować miało takie oślepienie, któreby kazało na Górnym Śląsku oddawać mandaty centrowcom, lub głosować na centrowca nawet w Księstwie.

Tego rodzaju idealne i realne korzyści i argumenty przemawiały za stawianiem własnych kandydatów w wyborach do parlamentu.

Zupełnie inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o wybory lokalne, do rad miejskich. Tam oczywiście oprócz ogólnych, wymienionych powyżej względów, grają ważną rolę względy lokalnej natury, wynikające z liczebnej siły danej kolonii polskiej. Za stawianiem własnych kandydatów do rad miejskich przemawiają nietylko wszystkie powyżej wymienione względy, ale jeszcze i nadto — najważniejszy — wzgląd *praktyczny,* że Polacy tu i owdzie swych kandydatów, choćby jednego, do rady miejskiej mogą przeprowadzić, albo przynajmniej od innych kandydatów uzyskać w tych praktycznych sprawach poparcie w radzie w zamian za poparcie przy wyborach.

Wiemy o jednem takiem mieście w Niemczech — miejscowości umyślnie nie wymieniamy z wiadomych względów — gdzie przez cichy kompromis z centrowcami dostał się Polak do rady miejskiej i nader

dużo pożytecznej pracy zdziałał dla Polaków w tem mieście.

Hasło nasze na obczyźnie powinno brzmieć: głosujmy na Polaka nietylko do parlamentu, ale z praktycznych pobudek na Polaka do rady miejskiej, do dozoru kościelnego, do kas chorych, do biur roboczych (Arbeitsamt'ów)! Wogóle wszędzie, gdzie Polak może nam być użyteczny, starajmy się go przeprowadzić, albo przynajmniej występujmy w wyborach jako jednolite stronnictwo, aby za cenę poparcia w wyborach uzyskać poparcie w tych wszystkich ciałach.

Ci, co niedawno pisali w gazetach, ganiąc projekt dortmundzkich Polaków mieszania się do wyborów miejskich, zdają się wcale o tem nie wiedzieć, że Polacy i to nietylko w Westfalii mają swych *wybranych* reprezentantów w dozorach kościelnych, a gdzie wskutek swej nieprzezorności ich nie mają, tam też muszą teraz tańczyć, jak im germanizatorzy w kościele zaśpiewają.

Liczba miast w Niemczech, w których powinni Polacy wziąść udział w wyborach do rad miejskich, nie jest wcale mała. Wymieniamy następujące:

Dortmund	3—4 tys.	Polaków
Recklinghausen [1]	2—3 tys.	„
Bruch [2]	6—7 tys.	„
Bottrop	5—6 tys.	„
Bochum	2—3 tys.	„
Herne	3—4 tys.	„
Gelsenkirchen	2 tys.	„
Essen	1 tys,	„
Duisburg	1 tys.	„
Düsseldorf	2—3 tys.	„
Elberfeld	1 tys.	„
Magdeburg	3—4 tys.	„
Bitterfeld	1 tys.	„
Misburg	2—3 tys.	„

Miasta wielkie, jak Berlin, Wrocław, Lipsk, Hamburg, Brema — rozmyślnie w tem zestawieniu opuszczamy, w nich bowiem wprawdzie przebywa znaczna liczba Polaków, ale jest znikającą mniejszością wobec ludności niemieckiej. W Westfalii zaś, gdzie nieraz połowę parafii katolickich stanowią Polacy — tam wybory do ciał komunalnych mają nietylko idealną, ale wręcz praktyczną doniosłość.

W Dortmundzie centrowcy chcą zagmatwać położenie rzeczy przez to, że wciągają do sprawy pół-socyalistę, pana Lütgenau i twierdzą, że on jest główną sprężyną Polaków. Tymczasem nasze informacye nam dają inny zupełnie obraz rzeczy. Wiec, na którym zajmowano się tą sprawą, zwoływało towarzystwo Przemysłowców, prezesem którego jest szczery i wypróbowany Polak, znany z procesu Leitgebra. Trochę nam się wydaje wątpliwem, aby on miał być narzędziem pana Lütgenau.

Wreszcie alarm centrowy jest trochę przedwczesny, bo nic jeszcze nie wyrzekła w tej sprawie jedynie miarodajna instancya: polski komitet wyborczy.

Nasuwa się tu jedna kwestya, którą z całym naciskiem tu podnieść musimy i prosić chcemy o wyjaśnienie — *jasne i stanowcze* — ze strony prasy centrowej. Zapewne, że wiele względów przemawiałoby za tem, aby kwestya wyborów na obczyźnie została między nami a centrowcami załatwiona w drodze wzajemnego porozumienia się, kompromisu wyborczego, wzajemnego popierania się, jak w powyżej przytoczonym przykładzie, gdzie za poparcie centrowych kandydatów do rady miejskiej centrum ofiarowało jednemu Polakowi mandat radnego. Ale o cóż się rozbija i rozbijać będzie zawsze to porozumienie? — *O to, że centrowcy wogóle po za obrębem Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich nie chcą uznać naszej polskiej organizacyi wyborczej za legalną; oni jej wogóle znać i uznać nie chcą!* Przed wyborami w Duisburgu oni pisali o naszej istniejącej zdawna i legalnej organizacyi wyborczej, *jako o „samozwańczym jakimś“ komitecie!* Oni przed wyborami ściślejszymi nie chcieli oficyalnie się zwrócić do polskiego komitetu wyborczego, *aby go tem samem nie uznać!* Niech choć jedna gazeta centrowa na to nasze dzisiajsze wezwanie odpowie, że owszem, — że centrowcy uznają naszą organizacyę wyborczą za czynnik równy sobie i że chcą na tej drodze szukać porozumienia! Żadna z centrowych gazet nie wykrztusi z siebie tego, *aby miała przyznać uprawnienie polskich komitetów wyborczych w Westfalii!*

To jest kamieniem obrazy — i to pozostanie nim.

Z relacyi dotychczasowych wypadków w Dortmundzie widzimy, że partya centrowa zupełnie tą samą kroczyć zamierza drogą: przecież matador centrowców Dr. Lingens nie zwrócił się do polskich tamtejszych władz wyborczych, lecz — słuchajcie narody — w swoim charakterze, jako przewodniczący związku *„der katholischen Vereine Deutschlands“* zawezwał do siebie zarządy dortmundzkich towarzystw polskich, aby im tam robić wymówki!

To nie jest ani prosta, ani właściwa droga — i dziwimy się tylko, że zarządy towarzystw polskich były tak naiwne, że poszły na wezwanie Dra Lingensa. Nasze towarzystwa na obczyźnie nie należą do żadnego *„Verbandu“* katolickich niemieckich towarzystw i niech unikają tego jak ognia, aby kiedykolwiek tam miały należeć. Owszem, towarzystwa nasze na obczyźnie powinny się wszystkiemi siłami starać pozbyć księży niemieckich jako przewodniczących, czy to faktycznych, czy to honorowych, bo potem z tego takie wynikają skutki, jak ten, że o sprawę polityczną — wybory — wciągane zostają zarządy naszych niepolitycznych towarzystw przez jakieś tam organizacye centrowe.

Że towarzystwo św. Antoniego w Dortmundzie idzie ręka w rękę z centrowcami i może należy do tego niemieckiego *„Verbandu“*, temu się nie dziwimy, bo to jest towarzystwo pół niemieckie, które przecież ma za organ „Tremonię“, — ale że inne towarzystwa chciały z Dr. Lingensem wogóle mówić o polityce, — temu się bardzo dziwimy.

Jeśli centrowcy mają do nas w polityce interes — niech idą dro-

[1]) Na terytoryum miejskiem — z przedmieściami.

[2]) Połowa parafian — Polacy.

gą prostą, **do naszych komitetów wyborczych!** Tam możemy ze sobą mówić, jak równy z równym!

Dr. Kazimierz Rakowski.

Grzechy rządu pruskiego

wobec kościoła polskiego w Prusach.

(Kartka z dziejów Księstwa.)

Zupełnie bez obsłonek, jawnie i cynicznie uprawiana przez Flottwella (rok 1835—40) germanizacya Księstwa Poznańskiego, ujawniająca się równocześnie w rozmaitych sferach życia publicznego, przejmowała wprawdzie serca trwogą o przyszłość prowincyi, pobudzała jednak zarazem do tem skuteczniejszej obrony narodowości, na którą rząd pruski otwarcie nastawał.

Obywatele pojmujący całe niebezpieczeństwo zaprowadzonego z żelazną energią systemu wynaradawiania, starali się skupiać siły wewnętrzne ludności polskiej, wytworzyć opozycyę, kłaść tamy zalewowi obcych żywiołów.

Równocześnie z postępami germanizacyi szerzyć się poczęła protestantyzacya. Osiadanie protestanckiej ludności niemieckiej, sprowadzonej z głębi Prus, wśród katolickiej ludności polskiej, prowadziło do małżeństw mięszanych i wychowywania dzieci nietylko w duchu niemieckim, ale i protestanckim. Było to niebezpieczeństwo zagrażające zarówno narodowości, jak i wierze ludności polskiej.

Dawniej, gdy ludność niemiecka, nie uważając się za tubylczą, lecz za obcą w Księstwie Poznańskiem, nie troszczyła się o uprawianie germanizacyi, nie było potrzeba żadnych zastrzeżeń kościelnych przy zawieraniu małżeństw mięszanych; bo strona protestancka uważała to za zupełnie naturalne, że osiadając w kraju katolickim i wchodząc tam w związki małżeńskie, jeśli już nie sama przyjmuje wyznanie ogółu, to przynajmniej dzieci w tem wyznaniu i narodowości daje wychować.

To się jednak zmieniło, gdy Flottwell, nie przebierając w środkach germanizacyjnych, i małżeństwa mieszane napływowej protestancko-niemieckiej ludności z tubylczą katolicko-polską chciał zrobić narzędziem germanizacyi i protestantyzacyi.

Tu już w szeregu wypadków od r. 1831 do 1837 wystąpiło na widownią nowe niebezpieczeństwo — przeciw któremu wystąpić musiały prowincyonalne władze kościelne.

W roku 1837 arcybiskup Marcin Dunin wystosował do rządu prośbę, aby mu było wolno publikować *breve* papieża Piusa VIII, zabraniające udzielania małżeństw mięszanych, o ile poprzednio strona niekatolicka nie zobowiąże się do katolickiego wychowania dzieci. Ponieważ arcybiskup przewidywał, że rząd się nie zgodzi na publikacyę tego breve, pochodzącego z roku 1830, podał więc równocześnie drugi projekt, a mianowicie, aby mu było wolno przedłożyć papieżowi stosunki w Księstwie do specyalnego uwzględnienia i prosić o decyzyą.

Ministeryum odrzuciło jak jedno tak drugie żądanie arcybiskupa, obstając przy tem, aby przy zawieraniu małżeństw mieszanych nie było wolno kapłanowi, dającemu ślub, stawiać stronie nie katolickiej żądań co do wychowania dzieci. W wydanym d. 3 maja 1837 reskrypcie ministeryalnym rząd tę zasadę jako obowiązujące prawo postawił.

Wobec tego arcybiskup zwrócił się bezpośrednio do króla, na co otrzymał odpowiedź nietylko odmowną, ale napisaną w takim tonie, jakby arcybiskup był podoficerem odbierającym rozkazy od swego zwierzchnika.

„Nie mogę przychylić się do tego, aby opublikowano bullę Benedykta XIV, albo aby się miano zwracać do tronu rzymskiego po wskazówki — pisał król — ponieważ w tej dawno rozstrzygniętej kwestyi wogóle nic niema do rozstrzygania.“ *)

Sprawa zapewne by długo się jeszcze ciągnęła, gdyby prawie równocześnie postanowienia tajnego konsystorza papieskiego w Rzymie nie były przyspieszyły dalszych decyzyi arcybiskupa. Na konsystorzu bowiem papież z naciskiem podniósł, że zdarzające się w Prusach małżeństwa mięszane bez zastrzeżeń katolickiego wychowania dzieci niezgodne są z duchem wiary i Kościoła.

Wobec tego arcybiskup Dunin wydał w styczniu 1838 roku okólnik do dziekanów swej dyecezyi, bez obsłonek komunikując im przebieg swych pertraktacyi z rządem i zalecając opublikowanie swego listu, a to w celu zapobieżenia zawieraniu małżeństw mięszanych. Niebawem po tym nastąpił nowy okólnik już bezwarunkowo zakazujący im, pod karą natychmiastowego zawieszenia w urzędzie, udzielanie małżeństw bez zastrzeżenia katolickiego wychowania dzieci.

W marcu tegoż roku arcybiskup listownie powiadomił króla o tych swoich krokach i decyzyach. Rząd chcąc sparaliżować w skutkach okólnik arcybiskupi, zarządził konfiskatę tegoż i w licznych wypadkach istotnie mu się udało pochwycić papiery kancelaryi arcybiskupiej, zanim dostały się do rąk księży w bardziej oddalonych parafiach.

Naczelny prezes Flottwell, który parł wciąż do zaostrzenia sytuacyi w nadziei, że uda mu się siłą złamać siłę i organizacyę duchowieństwa, udał się do Berlina, aby rząd do dalszych represalii nakłonić. Jako też po powrocie z Berlina w kwietniu 1838 roku, oświadczył arcybiskupowi w imieniu rządu, że mu zostanie wytoczony proces, jeśli nie cofnie i nie odwoła swych okólników w sprawie mięszanych małżeństw. Arcybiskup Dunin nie odwołał, a wobec tego rząd spełnił swoją groźbę, wytoczył mu proces, a nadto ogłosił do duchowieństwa ministeryalny reskrypt, w którym okólniki arcybiskupie uznał za nieważne i przyrzekł swoją opiekę tym kapłanom, którzyby mieli narazić się na cenzury duchowne wskutek niezastosowania się do tych „nieprawnie wydanych“ rozporządzeń.

Rząd bardzo się omylił, jeśli sądził, że w ten sposób potrafi wnieść zarzewie rozdwojenia w jednomyślne dotychczas duchowieństwo: obie kapituły bowiem i wszyscy dziekani zaprotestowali przeciw komunikatowi rządowemu zaznaczając, że w rzeczach wiary winni są posłuszeństwo tylko swemu prawowitemu zwierzchnikowi.

Proces przeciw arcybiskupowi toczył się tymczasem zaocznie, oskarżony bowiem, nie uznając kompetencyi trybunału, odmówił wszelkich zeznań. W lutym 1839 roku zapadł wyrok, skazujący arcybiskupa na sześć miesięcy więzienia w fortecy i złożenie z urzędu. Przed publikacyą wyroku zawezwał rząd arcybiskupa do Berlina, rzekomo celem polubownego załatwienia zatargu, w istocie zaś dlatego, aby go już z Berlina nie puścić i w razie oporu módz bez trudności z archidyecezyi usunąć. Istotnie też rozkazem gabinetowym król zupełnie skasował nałożoną na arcybiskupa karę siedmiomiesięcznego pobytu w fortecy, równocześnie zabraniając mu powrotu do dyecezyi, dopókiby sprawa nie była załatwiona. Gdy miesiąc przechodził za miesiącem, a arcybiskup dłużej już nie mógł pozostawać w wątpliwości, w jakim celu został zawezwany do Berlina, w dniu 3 października 1838, nie zważając na rozkazy królewskie, pospieszył do swej rezydencyi.

W owych czasach podróż z Berlina do Poznania lub Gniezna była kwestyą dwóch dni. Pilnie więc musiał być strzeżony arcybiskup w Berlinie, jeśli niemal równocześnie z jego przyjazdem przyszedł rozkaz uprowadzenia go siłą i deportowania do Kołobrzegu. Dnia 6 października nad ranem, zanim jeszcze świ-

*) „Ich kann daher nicht nachgeben, dass Sie die Verordnung Benedicts XIV publiciren, oder sich um Belehrung an den römischen Stuhl wenden, indem in dieser längst geordneten Angelegenheit nichts mehr zu ordnen ist.“

tać poczęło, zaaresztowano arcybiskupa i powieziono do Kołobrzegu, gdzie został internowany i pod czujnym nadzorem policyi szereg lat pozostawał.

Tak arcybiskup Dunin, jeden z poprzedników obecnie zasiadającego na tronie św. Wojciecha ks. arcybiskupa dr. Stablewskiego, wolał pójść na wygnanie, niż pozwolić, aby rząd pruski miał się mięszać do spraw duchownych.

Ordon.

Wspomnienia.

Czyjeż serce ich nie ma?...

Komuż one nie grają swej pieśni?...

Niby śpią gdzieś tam w głębi serca, niby pogrzebane falą czasu, niby pajęczyną osnute, zdaje się blendą i bledną, co raz mniej wyraźne i coraz mniej widoczne...

Aż w jakiejś chwili budzą się — witają, poczynają mówić i wołać.

Co za zmiany wtedy w duszy człowieka?...

Wspomnienia dalekie czasy stawią żywo przed oczy. Wspomnienia dawne chwile przypomną wyraźnie. — Wspomnienia niejeden raz duszę zbolałą napełnią pociechą — serce zamarłe w smutku rozpalą nowem życiem nadziei i pragnień...

Któż wspomnień nie ma?...

Stary ojciec — wspomina długie lata życia przeszłego. Lat zwijało się wiele na wrzecionie życia, a wspomnień na nich nie mało...

Matka — wspomina każdą prawie chwilę z życia swych dzieci. Ile nocy nie przespała, ile dni miała wielkich trudów i cierpień — ile trwogi o przyszłość i szczęście dzieci dręczyło jej myśli?...

Dziecię — wspomina szczęśliwe lata w domu rodzicielskim spędzone. Dziewica wszystkich marzeń kwiaty w wspomnienia wieniec splata. Młodzian — jako wspomnienie snuje dalsze plany wielkich czynów i prac...

A naród?...

Naród wspomnieniami odradza się!...

Nie jest to tylko tęsknych dumań karta — historyi naszej księga, boć to właśnie wspomnień mowa i wspomnień pieśń wielka — wspaniała.

Nie jest to tylko dowolna sprawa tej lub owej jednostki zagłębiać się w wspomnieniach przeszłości lub nie, bo nam dziś — w obecnej dobie właśnie ze wspomnień trzeba życie odradzać i w wspomnieniach je hartować.

Każda jednostka ma swe wspomnienia.

Każdemu sercu są miłe te chwile, które zapisały się w pamięci ważniejszą datą lub zdarzeniem, ale — o wieleż droższe i cenniejsze są wspomnienia nie jednostek, ale narodu całego?...

Wszakże to skarb potężny — przebogaty i nigdy nie ginący, ale owszem co dzień powiększający się. I skarbu tego nie mogą też nam zabrać i zniweczyć wrogowie nasi, jakkolwiek dokładają starań wiele o to.

Doskonale rozumieją oni, iż, gdyby nam zdołali wspomnienia z przeszłości wydrzeć z życia — podcięliby rdzeń pnia i zaszkodziliby srogo naszej przyszłości...

Dlatego oni chcą, byśmy zapomnieli o tem, co było, abyśmy już tego dalekiego wczoraj nie szukali w swych myślach, nie dumali o niem, nie kochali go bo zapomnienie grzebie wspomnienia i ducha niweczy...

Ale usiłowania te niecne — daremne są i będą.

Wspomnień życie jest rozsnute w tylu niciach i tkankach, iż choćby tu i tam je targano i deptano, ono jeszcze nie przestanie mówić i szeptać sercom polskim o tem, co było i co być powinno...

Wszakże — i wspomnienia — jak wszystkie skarby ducha i serca powinny być szanowane.

Zadaniem naszem jest żyć tak, abyśmy przeszłość narodu dobrze znali, bo wtedy — będzie się ona nam w wspomnieniach rysowała. Jeżeli zaś my nie znamy dziejów Ojczyzny, historyi jej literatury, jeżeli nie wpatrujemy się w oblicze Matki Ojczyzny, to nie znamy wspomnień o jej chwale i sławie, męczeństwie i przygnębieniu, a wtedy — nader łatwo możemy stać się Polakami tylko z imienia...

O! zanadto dobrze to czujemy nie jeden raz, iż nasi wrogowie nie lubią naszych wspomnień o przeszłości... bo nie jeden raz bywaliśmy karani i sądzeni jakoby za wielką winę za to, iż wspomnień tęczę rozsuwaliśmy przed oczyma braci... Wrogowie nie lubią naszych obchodów narodowych, wieczorków na uczczenie rocznic dziejowych, przypominania o tych lub owych doniosłych wypadkach w narodzie, więc i coraz rzadziej o tych rzeczach pisują się dziś książki, co raz rzadziej o tem gazety mówią, co raz rzadziej młodzież o tem słyszy...

To jest powodem upadku naszego moralnego i duchowego.

Jak zaczniemy tak powoli zacierać w pamięci jedno wspomnienie za drugiem, to z czasem chyba będziemy święcili tylko te, o których nam dany rząd opiekuńczy będzie przypominał... Więc — do wspomnień!...

Zbierajmy się dla czytania wspólnego dzieł o przeszłości naszej. Urządzajmy obchody narodowe w dnie wielkich dat — wspominajmy i o dniach tryumfu lub sławy, oraz o dniach cierpień największych — smutku i bolu...

Bo to wspominanie wryje się w pamięć, bo to wspominanie myśl opłącze, bo ono i serce rozgrzeje, a wtedy człek kochać pocznie inaczej tę Ojczyznę drogą, której życie strasznie niepotrzebne sąsiadom i opiekunom...

Więc do wspomnień bracia!...

Odczyty — deklamacye — gawędy — czytania, zebrania wspólne, wszystko dla wspomnień z tych lat, które niby dalekie i blade, ale blizkie i drogie sercu...

Wspomnienia wiodą — uczą, radzą, rozgrzewają i zachęcają do lepszego użycia istnienia swego...

Wspomnienia odsłaniają te tęczowe obrazy przeszłości, które wrogowie zasłaniają i niszczą...

Wspomnienia odradzają naród i niewolnikom szepcą o wolności...

O!... jakże wiele sił na to użytych, aby Polakom nawet wspomnienia odebrać!...

Jednak wspominajmy!!...

Jadwiga z Z. S.

Z TYGODNIA.

Poznań, 15 października.

„Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie". Przysłowie to zastosować można nietylko do powodzeń jednostek, lecz także — i to w większej mierze — do losów państw, ubiegających się o hegemonię w polityce światowej. Historya nas uczy, że naród dobiegający najwyższego szczebla potęgi, nabiera tyle pychy i dumy, że uważając się za pana całego świata, sięga wreszcie ręką świętokradzką po dobro innych narodów, które sam uznaje za największe na świecie. A tem największem dobrem jest wolność nietylko osobista, ale także polityczna, za którą każdy szanujący prawa ludzkości człowiek gotów położyć życie.

Egoizm i materyalizm stał się wszechwładnym w życiu politycznem; zanik poczucia sprawiedliwości uwydatnia się w każdej akcyi zaborczej, która dzisiaj niestety jest na porządku dziennym. Widzimy to w postępowaniu Anglii, która wskutek położenia geograficznego nie mogąc potęgi swej rozwijać na kontynencie, z natury rzeczy szukała zdobyczy w krajach zamorskich. Dopóki kontentowała się ona posiadłościami potrzebnemi do rozwoju rodzimego handlu

i przemysłu, potęgę synów Albionu nic zachwiać nie mogło; skoro niepohamowana chciwość, dyktowana nienasyconem materyalizmem, pchnęła ich na tory polityki zaborczej, nie licującej z etyką prawa międzynarodowego, upadek stał się nieuniknionym.

A wszelkie cechy upadku dla Anglii nosi dotychczasowy wynik wojny transwaalskiej. Wywołaną ona była przez kilku finansistów angielskich, którzy ostrząc zęby na kopalnie złota i dyamentów w Południowej Afryce, skłonili rząd angielski do wypowiedzenia wojny Burom, sądząc, że łatwym sposobem zdołają wcielić republiki Transwaal i Oranje w skład państwa Wielkiej Brytanii. Że to tak łatwo nie przyszło, widzimy dzisiaj, gdzie po dwóch latach walki sytuacya Anglii jest opłakaną.

Jeszcze przed niedawnym czasem głosił rząd angielski, że do ostatniej kropli krwi prowadzić będzie wojnę z Burami — a o układach ani słuchać nie chciał. Ani znane rozporządzenie Kitchenera, ani ogłoszenie stanu oblężenia dla Kaplandu nie osłabiło akcyi Burów, owszem uwydatniło ono niemoc Anglii, która przyznała przez to mimowoli, że nawet kolonia angielska sprzykrzyła sobie ojcowskie jej rządy.

Wobec wszystkich tych klęsk, których Anglia przed światem już nadal zataić nie może, utrzymuje się pogłoska, że rząd angielski chętnieby widział, gdyby trybunał pokojowy, dominujący w Hadze, spór z republikami afrykańskiemi w drodze polubowej załatwił. Prasa angielska nie występuje obecnie przeciw podobnym pogłoskom z tem szyderstwem, jakie dotąd okazywała wobec wszelkich zabiegów pokojowych ze strony zagranicy. Wie ona najlepiej, że opinia publiczna Anglii nie da się już złapać na szumne głoszenia zwycięztw Kitchenera i z upragnieniem wyczekuje zakończenia niefortunnej wojny. Olbrzymie jej koszta, wynoszące dotychczas przeszło miliard marek, coraz więcej dają się we znaki we formie podwyższania podatków, a na punkcie pieniędzy synowie Albionu są tak wrażliwi, że gotowi dumę narodową poświęcić potędze mamonu.

Nadto zawikłania polityczne na Wschodzie, i to poważnej natury, skłaniają rząd angielski do ustępstw w Afryce, by mieć wolną rękę wobec nowego niebezpieczeństwa. Zatarg między Francyą a „chorym człowiekiem“ nad Bosforem staje się chronicznym, a teatralny trochę wyjazd ambasadora francuzkiego Constansa z Konstantynopola nie był bez kozery. Francya uważa, iż jako protektorka interesów chrześcijańskich na Wschodzie, powinna większy wpływ wywierać na Portę, a nie ulega wątpliwości, że demonstracyami li tylko platonicznemi kontentować się ona nie będzie.

Anglia zawiele ma interesów na Wschodzie, by spokojnie mogła się przyglądać akcyi francuzkiej, zwłaszcza, że Francya ma za sobą tak silnego sojusznika, jakim jest Rosya, która ze swej strony chętnieby załatwiła dawny swój rachunek z Turcyą, gdy sposobność po temu się nadarzy. Gdzieby więc została Anglia na wypadek katastrofy na Bałkanie, — czy miałaby z założonemi rękami przyglądać się podziałowi dziedzictwa wschodniego, podczas gdy Kitchener byłby zajęty telegrafowaniem szumnych buletynów rzekomych zwycięztw w Afryce?

Ale nie koniec tarapatom kramarskiej polityki Anglii. Jak grom z jasnego nieba spadła na siedzącego po uszy w kłopotach John Bulla wiadomość, iż emir Afganistanu, Abdur Rhaman, umarł po krótkiej chorobie, a dziedzictwo po nim objął jego syn najstarszy Habib Ullah Chan. Afganistan, leżący na pograniczu Indyi angielskich a posiadłości rosyjskich, tworzy przedmurze dla zapędów zaborczej polityki rosyjskiej wobec interesów angielskich w Azyi.

Zmarły emir był nader zręcznym politykiem, który jedną ręką brał ruble rosyjskie a drugą złoto angielskie i tym sposobem umiał lawirować wśród chytrych zabiegów chciwych łupu sąsiadów. Czy syn jego w ten sam sposób postępować będzie, lub czy też padnie w objęcia jednego z ubiegających się o jego względy mocarstw, jest kwestyą, która ciężkich chwil przysparza rządowi angielskiemu. Nie dziw więc, że prasa angielska poważnie się nad nią zastanawia i radzi rządowi, aby o ile możności jak najprędzej, ale z wszelkim honorem zakończył wojnę z Burami i całą uwagę zwrócił na wypadki na Wschodzie.

Młody emir jest wprawdzie wychowany w Anglii, skutkiem czego nie jest wykluczonem, że chętnie podda się wpływowi wicekróla indyjskiego. W takim razie zachodzi niebezpieczeństwo, że Rosya użyje wszelkich środków, by jej wpływ stał się dominującym w Afganistanie. Wobec zagmatwanych na Wschodzie stosunków dziedzicznych mogłaby Rosya postarać się o rywala do tronu emira i tym sposobem sparaliżować zabiegi Anglii. Rzeczywiście Habib Ullah ma rywala w osobie Ishaka-chana, który jako najstarszy członek rodziny panującej w Afganistanie rości sobie pretensye do tronu na postawie istniejącego w niektórych państwach muzułmańskich „senioratu“, zasadzającego się na tem, że nie najstarszy syn panującego, ale najstarszy książę panującego domu obejmuje rządy. Czy Rosya wysunie tego kandydata do tronu w Afganistanie — nie wiadomo, rząd angielski niepokoi się atoli i usłucha zapewne głosu prasy, która mu radzi, by utrzymał w Afganistanie *status quo*, jako wał przeciwko Rosyi.

Widzimy tedy, jak daleko duma i pycha, a ztąd wynikająca chęć zaborcza zaprowadziła Anglię. Nieszczęście jej starają się wrogowie wyzyskać na każdym kroku i kto wie, co z tego jeszcze wyniknąć może. Niemcy, którzy od wieków z zazdrością spoglądali na wzrastającą potęgę morską Anglii, z źle ukrywaną radością śledzą obecnie za każdorazową jej klęską i wyczekują z upragnieniem chwili jej upadku. Cała prasa niemiecka od początku wojny w Afryce okazuje w szumnych frazesach swą sympatyą dla Burów, a pogardę dla Anglii, która wręcz poczuciu ludzkości przemocą stara się pozbawić wolności politycznej walecznego narodu. Bardzo to pięknie, ale najpierw trzeba wymieść śmiecie z pod własnych drzwi, by módz krytykować drugich. My Polacy najlepiej osądzić możemy wynurzenia sympatyi ze strony naszych najserdeczniejszych i nigdy nie uwierzymy, aby one pochodziły ze szczerego serca. Gdyby Niemcy bili Burów, inaczejby śpiewała prasa niemiecka... Lecz zakończmy słowami Szylera: „*Wszelka wina mści się na świecie.*“

S. Wcz.

Przegląd prasy.

Odstąpić musimy dziś od przyjętego przez nas na tem miejscu zwyczaju bezstronnego referowania o głosach gazet. A wyjątek ten zrobić musimy na rzecz prasy niemieckiej katolickiej. Prasa ta w ostatnich czasach zajęła wobec „Kuryera Poznańskiego“ tak wrogie i nieprzyjazne stanowisko, że wraz z innemi pismami i my pospieszamy złożyć nowej redakcyi **„Kuryera Poznańskiego“** pełne uznania podziękowanie za szczerze polskie, prawdziwe męzkie i rozumne stanowisko, jakie wśród tych palących spraw naszego społeczeństwa zajęła, dając ku temu dowód, że nie chodzi jej o mniejsze lub większe sympatye wpływowych kół centrowych, lecz o dobro samej sprawy. Jeśli centrowe koła przypuszczają, że atakując „Kuryera Poznańskiego“ w czemkolwiek przyczynią się do obniżenia jego znaczenia i wpływu, to się bardzo mylą, bo inteligentna część społeczeństwa dziś dopiero zaczyna naprawdę oceniać różnicę pomiędzy tym „Kuryerem“, jakim był niegdyś, — a tem pismem, jakiem się stał „Kuryer“ dzisiaj: szczerze postępowem w najlepszem tego słowa znaczeniu; szczerze katolickiem, bo uwzględniającem ideę katolicyzmu nie w obłudnych pozorach pobożności, ale w twardej społecznej pracy; szczerze polskiem — bo nie wahającem się prawdy w oczy powiedzieć ani swoim, ani obcym, gdy dobro kraju tego wymaga.

A gdyby się prawdą stać miało, że centrowcy i pewne koła polskie, dla których centrum jest alfą i omegą polityki — miały na podkopanie „Kuryera“ nowe jakieś pismo założyć, to całe społeczeństwo nasze, dziś dzięki Bogu zwarte w sobie i jednolite, da tym panom odpowiedź, aby nie mącili wśród nas tej jednolitości, aby nie próbowali rozsadzać naszego społeczeństwa klinem swych dążności, bo dla nich grunt już między nami na zawsze zmarniał. My pojmujemy pismo katolickie tylko takie, jakiem jest „Kuryer“ — inne zaś społeczeństwo nasze z obrzydzeniem by odrzuciło.

Do polityki tych sfer interesującą ilustracyą jest ogromnie omawiany w Poznańskiem wypadek: niemieckie kazania na poznańskiem przedmieściu, św. Łazarzu.

Przytaczamy tu artykuł „**Gazety Polskiej**“ z Warszawy, zaznaczając, że nie wszystkie wyrażone w tym artykule poglądy uważamy za trafne:

„Na niezwykłą próbę germanizowania przez kościół pozwolił sobie ksiądz zarządzający świeżo zbudowanym kościołem na Sw-tym Łazarzu, przedmieściu, włączonem od roku do Poznania. Wzniesiono ten kościół ze składek wyłącznie ludności polskiej. Niemcy nie dali ani grosza, ani nawet nie przyjmowali księży, zbierających składki w czasie kolendy, po prostu dlatego, że są to przeważnie urzędnicy, którzy tylko formalnie należą do kościoła katolickiego. Gdy jednak kościół stanął, stała się rzecz niespodziewana. Ksiądz, któremu oddano go w zarząd (nie jest to kościół parafialny, lecz filialny polskiej parafii S-go Marcina), Polak Wagner, nie opowiedziawszy się nikomu, nawet podobno swej władzy, zaczął odprawiać nabożeństwo po niemiecku. Lud polski, wypełniający kościół po brzegi, oniemiał, usłyszawszy niespodziewanie śpiew niemiecki, i zachowywał się zupełnie biernie. Procesya, którą rozpoczęło się nabożeństwo, wypadła fatalnie. Prócz księdza, ministrantów i dwóch marszałków, nikt nie szedł za nią. Kilku nauczycieli niemieckich, rozrzuconych po kościele, poczęło śpiewać, ale głosy ich ginęły w ogromnym gmachu. Po mszy S-tej ks. Wagner oświadczył, że wypowie kazanie po niemiecku, i prosił tych, którzy po niemiecku nie rozumieją, aby opuścili kościół i nie przeszkadzali Niemcom. Wyszli prawie wszyscy. Pozostało około 150 osób — oprócz kilkudziesięciu dzieci, tacy „katolicy“, którzy nie umieli się ani przeżegnać, ani wogóle zastosować do ceremonii zachowywanych w kościele.

„Mimo tego fiaska, ksiądz Wagner nie dał za wygraną. Po nieszporach, które według zwyczaju przyjętego w Poznaniu odprawiają się po łacinie, zaczął odprawiać różaniec — znów po niemiecku. Ale tu stała się rzecz dziwna. Ksiądz zaczyna *Vater unser* i *Gegrüsst seist Du Maria* — nikt nie odpowiada. W kościele głucho i cicho, jakby posiał makiem. Żadna „dusza niemiecka“ nie odezwała się. Ksiądz, zdziwiony, obejrzał się i ostatecznie odmówił sam kilka „Zdrowaś Marya“. Aż wreszcie lud tłumnie zebrany, słysząc, co się dzieje, zaczął odpowiadać po polsku: zamiast „*Heilige Maria*“, „Swięta Maryo“ — i potem do końca odbył się różaniec po polsku, zaśpiewano polskie pieśni i nabożeństwo szło zwykłym sposobem, jak lud polski jest do tego przyzwyczajony.

„Ksiądz Wagner liczył oczywiście na to, że lud tutejszy, który zna bez wyjątku język niemiecki, z dobroduszności zgodzi się na nabożeństwo niemieckie i powoli przyzwyczai się do niego. Dzielni Bambrzy jednak udaremnili przez swój bierny opór zamysły germanizatora i w pismach protestują energicznie przeciw tej próbie germanizowania za pomocą kościoła. Sprawa ta wywołała wielką wrzawę i ostre zarzuty przeciw władzy duchownej, która jednak podobno nie wiedziała o niczem, i zapewne będzie miała epilog wcale niemiły dla ks. Wagnera. Rozumie się, że pisma niemieckie są zachwycone jego pomysłem i dowodzą czarno na białem, że miał prawo do odprawiania nabożeństw niemieckich, bo do parafii należy około 800 Niemców. Zapewne zaliczają do nich część Bambrów, których przodkowie rzeczywiście byli, jak wiadomo, importowanymi z pod Bamberga. Dziś są to Polacy duszą i ciałem.“

Jak powyżej zaznaczyliśmy, nie ze wszystkiem godzimy się na wyrażone powyżej zapatrywania: mianowicie na składanie winy na ks. Wagnera. Nie możemy uwierzyć, aby ten kapłan działał na własną rękę, a gdyby istotnie tak działał, byłoby to tem większym tylko dowodem zastraszającej bezsilności wyższej władzy duchownej, której objawy i na polu nauki religii się okazały.

Do kościoła wdziera się niemczyzna wszystkiemi drogami: śpiew niemiecki obecnie należy do bardzo protegowanych przez rząd środków germanizacyi przez kościół. W sprawie tej pisze „**Katolik**“ p. t. „Spiew przy mszy, zwanej szkólną“:

„W parafiach z czysto polską, albo przeważnie polską ludnością łączą się z tą mszą św. skargi rodziców polskich na to, że dziatki ich podczas tej świętej Ofiary po niemiecku śpiewać muszą.

„Nauczyciele, a nawet niektórzy księża, odpowiadają na te skargi, albo, że władza świecka żąda niemieckiego śpiewu przy tej mszy świętej, albo że władza duchowna takie wydała rozporządzenie.

„Katolik“ stwierdza wobec tego po pierwsze, że władza świecka nie ma najmniejszego prawa do mieszania się do spraw Kościoła, powtóre, że władza duchowna nigdy podobnego rozporządzenia nie wydała. Oznaczenie „msza szkolna“ nie zachodzi nigdzie w żadnych rozporządzeniach władz duchownych.

„Dalej przytacza „Katolik“ kilka rozporządzeń władz świeckich, odnoszących się do tej sprawy.

„Przytacza zatem rozporządzenie ministra oświaty z d. 2-go października 1875, w którem między innemi czytamy:

„Jak z jednej strony za dostateczne i z charakterem chrześciańskiej szkoły ludowej zgodne uważam, aby nauczyciele naukę przedpołudniową za każdym razem krótką modlitwą zaczynali, tak z drugiej strony wolno modlitwę tę zastąpić, gdzie to dotąd było w zwyczaju tak zwaną mszą szkolną, trwającą pół godziny, lecz najczęściej w dwóch dniach tygodnia. Do wzięcia udziału w tem nabożeństwie szkolnem są w ogólności zobowiązani nauczyciele i nauczycielki wyższego oddziału i dzieci tegoż oddziału, mieszkające nie dalej, jak 15 minut drogi od kościoła. Nauczyciele i nauczycielki mają dozorować przy tem dzieci.“

„Rejencya w Opolu rozporządziła dnia 6-lipca 1873, że nauka szkolna nie ma doznawać uszczuplenia przez kościelne obrzędy, (tak zwaną mszę szkolną,) procesye itp.

„Co do śpiewu dzieci szkolnych przy mszy św. ani minister, ani rejencya, nie wydali żadnych rozporządzeń, ponieważ dobrze wiedzą, że nie mają do tego prawa.“

Kultura pruska okazała się w całej pełni w petycyi i proteście, jaki podali mieszkańcy powiatu kępińskiego przeciwko gospodarce iście pruskiej w tamtejszym lazarecie. Przytaczamy kilka wyjątków z tego protestu:

„Kierownictwo lazaretu zbudowanego r. 1896 kosztem 48,000 mk. i utrzymywanego rocznym nakładem 7000 mk. miało być według jednomyślnej uchwały wydziału powiatowego z r. 1895, stanowczo potwierdzonej dnia 15 stycznia 1896 i 14 listopada 1896 przez większość sejmu powiatowego, oddane w ręce zakonnic katolickich.

„Uchwały te odpowiadały nie tylko uczuciom ludności katolickiej, która w r. 1895 liczyła 25,282 głów, ale także ludności ewangelickiej, liczącej 5063 i żydowskiej, liczącej 1350 głów, na co się tu szczególny kładzie przycisk.

„Mimo to powierzono kierownictwo lazaretem prywatnemu człowiekowi, panu Rolandowi, który pielęgnowanie chorych tak sprawuje, że mieszkańcy powiatu doszli do przekonania, że lepiej chorego bez lekarza i opieki lazaretowej pozostawić w domu, aniżeli szukać dla niego polepszenia i wyleczenia w lazarecie.

„Dosyć powiedzieć dla scharakteryzowania kierownictwa, że ów pan Roland sądownie został skazany za zbrodnią przeciw moralności na rok więzienia i że sam się przyznał, iż wypijał po 22 koniaków dziennie.

„„W Kępnie są siostry Boromeuszki, a także Elżbietanki, które podejmują się pielęgnacyi chorych za mniejszem, niż pierwsze wynagrodzeniem. Na sejmiku tegorocznym wyrażono wprawdzie po za porządkiem obrad życzenie większości, żeby kierownictwo lazaretem powierzyć zakonnicom katolickim. Landrat dawał też kilkakrotnie przyrzeczenia, że postąpi według życzenia większości.

„Ustęp z jego pisma z d. 5 grudnia 1900 brzmi dosłownie:

„„Ponieważ porozumiawszy się z matką zakonu (Boromeuszek) mam pewność, że ten zakon nadal gotów jest podjąć się pielęgnowania chorych, przeto zamierzam zaproponować sejmikowi przyjąć do lazaretu zakonnice katolickie. Że ten projekt nie napotka na opór, mam powód na pewno przypuszczać.“

„Tymczasem teraz z najkompetentniejszego miejsca, bo od landrata samego, nadchodzi wiadomość, że on kierownictwo lazaretem powierzy „siostrom od czerwonego krzyża“, ponieważ na Boromeuszki ministerstwo się nie zgodziło.

„Obywatele Kępna ufając przyrzeczeniom landrata wstrzymywali się od podania petycyi do ministerstwa, co teraz tem większe powoduje rozgoryczenie w powiecie.

„Obecnie wykonuje zlecenia lekarskie na chorych zwyczajny parobek i 15-letnia córka rzeźnika H. Peschla musiała, mimo protestu siostry Boromeuszki, która dobrowolnie chciała to zrobić, poddać się opatrunkowi kolana przez sługę lazaretowego.

„Wobec tego wnoszą obywatele Kępna protest przeciw takiemu administrowaniu instytucyą powiatową i w ogóle majątkiem powiatowym i sprawami powiatu."

Protest ten wymownie oświetla pruskich kulturtregerów i ich robotę w naszym kraju.

Wychodzący w Paryżu „Matin" umieszcza w numerze z dnia 27 września r. b. taki artykuł:

„Czy wolno jeszcze mówić o Polsce?... Czy nie ma w tem anachronizmu i czegoś niewłaściwego, aby nie powiedzieć nieprzyzwoitego — albo jeśli się woli, fałszywej nuty w tych dniach bratania się francusko-rosyjskiego?... Tak, być może, gdyby alians rosyjski był tylko wykwitem zapału, kaprysu, gdyż kaprys jest ekskluzywny i ślepy. Kaprys odrzuca, przeczy, ignoruje wszystko, co go poprzedzało. Ale takim nie jest charakter zbliżenia się, które się staje z dniem każdym serdeczniejsze, ściślejsze, a także więcej wyrozumowane i tem samem trwalsze między Francyą a Rosyą. Takie zbliżenie się, które ma dążenie uprawnione, by utrwalić przyszłość, nie mogłoby mieć małostkowych skutków wstecznych i nakazywać zapomnienie wzruszeń, sympatyi jak najrdzenniej francuskich z przeszłości.

„Zbyt długo kochaliśmy Polskę, zanadto wysławialiśmy jej nieszczęścia, by nie interesować się choćby trochę, przynajmniej literacko, jej dziejami i co do mnie, nie znam nic bardzo wzruszającego i przejmującego, coby więcej pobudzało do bolesnego rozmyślania nad „zmianą państw", jak mówiono u nas w wielkiem stuleciu, jak „mapę Polski w roku 1634—1650."

„Rzućcie okiem na tę mapę, a olbrzymie, wspaniałe widmo przesunie się przed oczami waszemi, mapa ta bowiem nakreśla przestrzeń, zajętą przez jeden kraj, od Bałtyku do Morza Czarnego. Jest ona pokryta nazwami, które sprawiają wrażenie pewnego chaosu etnologicznego, nad którym panuje kilka sławnych posterunków, jak „Wielkopolska", która zaczynała się u bram Berlina i obejmowała, jako poboczne działy, „Prusy Wschodnie", — jak „Małopolska", która sąsiadowała bezpośrednio z Węgrami i księstwami naddunajskiemi, która na wschodzie obejmowała Ukrainę, posiadała port Odessy i zatrzymywała się na krańcach Zaporoża, nad brzegami Dniepru, niemal u progu Rosyi.

„Wobec tego panowania, jakaż małość, jaka skromność względna tego państwa, które nazywano wówczas po prostu „caratem Moskwy!"

„A jeśli się przypatrzy tej mapie, jakże rozumie się gorycz trwałości wspomnień, wyrytych w pewnych duszach. Jakże pojmuje się miłość, szacunek, zapał, który natchnął tyle przejmujących i pięknych dzieł tego chlubnego syna Polski współczesnej, którego zowią Henrykiem Sienkiewiczem — autora „Quo Vadis" — dzieł, jak „Ogniem i mieczem", tak ulubionego przez naszych Czytelników, jak „Potop", który w tejże chwili wychodzi w wydaniu „Revue Blanche."

„Kto mówi o Polsce, mówi o niedoli i blasku, odwadze, mądrości i szaleństwie — i z tych wszystkich stron kolejno, by nie powiedzieć jednocześnie, Sienkiewicz ukazuje nam w „Potopie", w dniach najjaśniejszego blasku, w dniach tej karty, o której mówiłem i którą umieszczono na końcu tomu, wielkoduszny i chimeryczny naród, który na krańcach cywilizowanej Europy bronił wówczas cywilizacyi, wiary i... Europy.

„Dodaję, że stanowiąc wielką stronnicę dziejów i to dziejów najwymowniejszych, ponieważ jest jak najbardziej żywą, „Potop" jest w całej potędze tego wyrazu romansem ożywionym, oświeconym, ogrzanym płomieniami niezrównanego uczucia.

„Trudno wymarzyć sobie postać bardziej wzruszającą, naturę gorętszą nad Andrzeja Kmicica, który jest prawdziwym bohaterem i prawdziwym rycerzem ówczesnej Polski, gdy porwany gwałtowną i niewczesną miłością w chwili zgubnej dla kraju, wchodzi w siebie i staje się wspaniałym żołnierzem, paladynem bez skazy.

„Jest w tej książce zwłaszcza cud prawdziwy — opis oblężenia Częstochowy... Opis czynów, jakich tam dokonano, przypomina epopeę naszej Joanny d'Arc, o której sądziliśmy, że nie ma rywalki. Jednemu przynajmniej krajowi danem zostało zbliżyć się do niej, a tym krajem była Polska, która w czasie swego istnienia narodowego miała niejeden punkt styczny z heroizmem francuzkim... Jako wspaniały hołd, oddany cnotom i urokowi ojczyźnie upadającej, „Potop" będzie miał tylu wielbicieli, ilu liczy Czytelników, przejętych majestatem dziejów, lubiących odczuwać w swych żyłach podniosły dreszcz minionych wielkości."

Możemy być dumni z takiego uznania. Jest to najlepszy dowód, że jesteśmy! Budzi się duch na Górnym Śląsku, dzielnie się trzymają nasi na wychodztwie a tutaj hakatyści sami niedadzą nam zapomnieć, że jesteśmy Polakami. W górę czoła, Polska żyje i żyć będzie!

B. M.

Korespondencye „Pracy" i listy od Przyjaciół.

Barmen.

Szanowna Redakcyo!

W mieście Barmen zamieszkuje przeszło 1 tys. Polaków, ale nie wielu z nich do polskości się przyznaje, niektórzy zaś po polsku wcale nie rozmawiają. Po największej części są to robotnicy pracujący w fabrykach, którzy zarabiają tygodniowo 12 do 24 marek.

Największa część pracuje przy kanalizacyi i wogóle przy ziemnej pracy. Tylko dozorcami są zazwyczaj Niemcy, którzy brutalnie obchodzą się z naszymi robotnikami Polakami. Czeladzi rzemieślniczej także się znajdzie trochę, ale tylko mała liczba.

Towarzystwo św. Rocha urządzało w rocznicę swego istnienia przedstawienie amatorskie. Miała być odegrana sztuka pt. „Akademia czyli ofiara za Ojczyznę" i to zostało stanowczo zabronione. Ale nietylko to, nawet oznak czerwono-białych zabroniono nosić i policya surowo tego przestrzega.

Towarzystwa tutejsze wieleby jeszcze zdziałać mogły dla Polaków będących na obczyźnie. Ale niestety! Nie ma tu ludzi, którzyby się tem zajęli, a chociaż się tu i owdzie znajdą ludzie inteligentniejsi, to stronią od Towarzystw zupełnie, lub gdy który z nich raczy się pokazać na zebraniu, to często w taki sposób, że członkowie Towarzystwa nieraz by sobie życzyli, ażeby raczej nie był przyszedł. Polacy więcej wykształceni mogliby jeszcze bardzo wiele dobrego zdziałać, ale zanadto tę sprawę lekceważą. Jeśliby to się na lepsze zmieniło, tj. gdyby ci inteligentniejsi ludzie chcieli się gorliwie tem zająć, to byśmy o wiele więcej Towarzystw mieli i Towarzystwo więcej by członków posiadało, a przez to by Towarzystwa więcej i korzystniej mogły działać niż dotychczas.

Teraz parę słów do agentów z zawodu lub z okazyi, którzy na nasz lud czyhają, aby judaszowski grosz za zachęcanie do wychodźtwa zagarnąć. I tutaj niestety mamy Polaków, którzy się na ten chleb puszczają, a fabrykanci i tutejsi przemysłowcy, najbardziej takich poszukują i pragną, wiedząc, że Niemcowi muszą płacić dziennie 20 mrk. i więcej za stręczenie ludzi, a takiemu sprzedawczykowi współziomkowi płacą tylko 7—10 mrk. dziennie a czasem tylko podróż i za głowę sprowadzonego robotnika około 3 marek. Przytem są pewni, że Polacy Polaka prędzej usłuchają i że Polak za tanie pieniądze więcej żywego towaru dostarczy niż drogi Niemiec. Słyszałem, jak dziewczęta polskie opowiadały, że jeden taki Polak-agent im obiecywał, że zarobią bardzo dużo pieniędzy, że będą mieszkały w domu, który stoi w sadzie, gdzie będą mogły obrywać pomarańcze, no i jeszcze więcej tym podobnych bajek, aby tylko łatwowierne dziewczęta znęcić. Ów dom — to prawdziwe koszary. W jednej izbie śpi 10 lub więcej jeszcze dziewcząt, a jedzenie gotują im w kotłach jak przy wojsku.

To się działo i tak się jeszcze dzieje w Lennep i Bielefeldzie w Westfalii. Biedne takie oszukane dziewczęta polskie! Są pomiędzy niemi dziewczęta, które się swej wiary i narodowości trzymają, ale pokusy i zgorszenia zanadto wielkie, tak że i najstalsza i najlepsza upaść może. Więc matki i ojcowie! Nie pozwalajcie córkom i synom swym iść w świat bez waszej opieki, bo wielką odpowiedzialność przed Bogiem i przed ludźmi na siebie bierzecie, z której się nigdy oczyścić nie będziecie mogli!!

Czytelnik „Pracy"
Edmund G.

* * *

Z Elberfeldu,

Szanowna Redakcyo „Pracy!"

Z ubolewaniem musimy spoglądać na opieszałość, jaka jeszcze pomiędzy naszymi rodakami w niektórych stronach na obczyźnie istnieje, gdzie setki i tysiące naszych braci zamieszkuje, a o towarzystwie i o organizacyi wcale nie myślą, a inni mówią: „My nie mamy sposobu do zakładania Towarzystw, chętnie byś-

my coś ofiarowali, byle tylko się kto tem zajął.“ A więc oglądają się za takimi braćmi, którzyby ich osobiście w tych sprawach poparli. Dlaczegóż nie czynimy tak, jak inne narody, które posyłają rozsądnych mówców od miasta do miasta, od wsi do wsi, aby naród oświecić i rozgrzewać tem do lepszej pracy dla społeczeństwa swego? Przecież i my mamy wymownych rodaków, którzyby się chętnie temi sprawami zajęli. Możeby „związek Polaków“ zechciał swoją działalność w tym kierunku rozpostrzeć? My w Elberfeldzie jesteśmy zawsze gotowi tem się zająć. Także czytamy wielokrotnie, iż kasy Towarzystw są w dobrym stanie, czyby to więc nie było korzystnem, aby Towarzystwa abonowały więcej numerów gazet dla tych członków, którzy może nie mają sposobu, aby je zapłacić, albo którzy nie wiedzą co to polskie gazety i jaką korzyść przynoszą; zdaje mi się, że w ten sposób wielce by się Tow. przysłużyły do rozszerzania oświaty. W naszem Tow. św. Wawrzyńca juześmy to zaprowadzili — zdaje mi się, że więcej Tow. pójdzie za naszym przykładem.

Czytelnik i szerzyciel „Pracy.“

P. Z.

* * *

Elberfeld.

Szanowna Redakcyo „Pracy“!

Jakkolwiek nie jestem Szanownej Redakcyi znajomy, pomimo to ośmielam się odezwać do ukochanej „Pracy“, która wywołała we mnie wielką miłość a zarazem przywiązanie, i nie wiem w jakiby sposób podziękować ukochanej „Pracy“ za te ciernie i głogi, przez które ukochana „Praca“ przechodzić musi. Z niej to każdy może się nauczyć wielu bardzo pożytecznych rzeczy, jak tego sam doznałem.

Przyjechawszy w te strony, wszystko miałem obce, nie miałem nikogo znajomego; ani polskiej mowy, ani polskiego nabożeństwa, wszędzie gdzie się tylko obróciłem wszystko było niemieckie. Aż wreszcie jednego razu, było to w niedzielę po południu, szedłem z moim kuzynem i rozmawialiśmy po polsku, aż tu nas zagadnął jakiś jegomość także po polsku dokąd mamy zamiar iść. Ja mu na to odpowiedziałem, że chodzimy bez celu i chcemy trochę miasto obejrzeć. A on na to odpowiedział: „Chodźcie lepiej moi panowie ze mną na zebranie polskiego Towarzystwa, a tam się możecie lepiej zabawić, bo zobaczycie się z Rodakami.“

I tak od onego dnia zacząłem uczęszczać na zebrania do Towarzystwa i zapisałem się. Towarzystwo to nie jest na to aby się tylko zabawić i rozmówić, ale żeby się też wspólnie pouczać. Sprowadzają książki z czytelni ludowej z Poznania i różne gazety, a pomiędzy nimi także przezemnie ulubioną „Pracę“. Jestto skarb nieoszacowany, ponieważ z niej najwięcej można skorzystać, ona podnosi najbardziej naszą narodowość i ducha narodowego polskiego. Oby tylko za jej przewodnictwem wszyscy jej czytelnicy postępowali!

Wierny ukochanej „Pracy“ czytelnik

Walenty P.

* * *

Zielona Góra, (na Dolnym Śląsku)

Szanowny Redaktorze.

Na życzenie Pańskie donoszę o Polakach w Zielonej Górze. Liczba osiadłych Polaków wynosi 160. Trzynastu ma własny interes, powiększej części stan rzemieślniczy, czeladzi samotnych można liczyć na 120 a może i więcej, gdyż w naszem Towarzystwie jest 60 ciu; w niemiecko katolickiem też będzie tyle. Zatrudnienie mają w fabryce mostów i wagonów kolejowych i zarobek ich wynosi od 14 tu do 24 rech marek. W okolicy Zielonej Góry, należącej do parafii Zielono Górskiej, jest bardzo wielu Polaków, tak iż ogółem nas wszystkich z dziećmi będzie na 1000 głów. Opiekę duchowną ma Ksiądz Paweł Sapelt, który jest wielki germanizator. Nasi Polacy są bardzo oziębli do swojej ojczyzny, ponieważ z osiadłych Polaków nas tylko 9 ciu jest w Towarzystwie polskiem, reszty ani uprosić, ani zachęcić nie można, a jak się do nich po polsku mówi to odpowiadają po niemiecku, nie zważają też na wiarę świętą i bardzo wielu ślub bierze w protestanckim kościele, w czem protestantom jest wielką pomocą nasz czcigodny ksiądz katolicki Niemiec, gdyż jak Polak przyjdzie do niego z ewanieliczką, chcącą przystać na katolicką wiarę, to ksiądz niemile ich przyjmuje. Nas Polaków bardzo nie lubi. I tak najprzód starał się wszelkiemi sposobami przeszkodzić, gdyśmy zakładali Towarzystwo polskie; jak sobie opowiadano, kilka razy udawał się na policyą twierdząc, że towarzystwo nasze zbyteczne obok niemieckiego katolickiego.

Później wyraził się, iż niemiecka pierś musi ciężko oddychać, bo już Polacy do założenia Towarzystwa w Zielonej Górze doprowadzili. Staramy się już trzeci rok o polskiego księdza przynajmniej do wielkanocnej spowiedzi, gdyż nam trudno po niemiecku się spowiadać, jednakowoż nie można się doprosić gdyż ksiądz się temu sprzeciwia. W odpowiedzi wyraził się iż *„kto chce niemiecki chleb jeść, ten się może też i po niemiecku spowiadać.“* Gdyśmy mu powiedzieli, iż my nie przyszli do niego politykować, tylko w sprawie religijnej, w której nie jesteśmy, ani Niemcami, ani też Polakami tylko rzymsko-katolicy, więc jeżeli ksiądz jest dobrym duszpasterzem, to powinien się sam starać, aby jego parafianie nie popełniali świętokradztwa i godnie przystępowali do stołu Pańskiego. Tak on na to nam odpowiedział: „Kto do mnie przyjdzie do spowiedzi, tego ja uczynię godnym do przystąpienia do stołu Pańskiego. To nie wasza rzecz, ale moja.“

Towarzystwo już złożyło pieniądze z dobrowolnych składek na pokrycie kosztów podróży dla księdza, a jeszcze go nie możemy dostać. Było także wielu Polaków z naszego Towarzystwa w niemiecko-katolickiem, w którem ów ksiądz jest prezesem i taki dał im nakaz, iż jeśli chcą w katolickiem Towarzystwie pozostać, to muszą z polskiego wystąpić. Tem samem zmusił Polaków, iż wystąpili z katolickiego Towarzystwa, którego $^1/_4$ część członków składa się z protestantów, którzy są w Towarzystwie dla interesu. Gazety polskie tu czytane przez Polaków są: *Praca, Czytelnia Polska, Goniec Wielkopolski, Wielkopolanin, Wiarus* i *Przewodnik Katolicki.*

Najbliższe Towarzystwo polskie jest w Zgorzelicy.

Z szacunkiem

N. N.

Cicha jesień!

Cicha jesień — smutna jesień
Wiatr liście rozwiewa —
Jak bez szaty — bez okrycia
Stoją polskie drzewa,
A na niwach, na zagonach —
Szara mgła się toczy —
Niby smutna mgła zwątpienia,
Co łzą skrapia oczy.
Na kominku ogień strzela,
A dzieci znudzone
Za wiosenką i za latem
Już bardzo stęsknione,
Więc się tulą do matuli
O gawędę proszą
Jak do słonka, w matki oczy
Swoje oczy wznoszą.
Matko-Polko! w takiej dobie
Wielkie masz zadanie,
Wiele zdziałasz, gdy zrozumiesz
Swoje powołanie,
Matko-Polko, — gdy swe dzieci
Przytulisz do łona,
Opowiadaj im jak Polska
Przez sto lat męczona,
Ile rzek jej krwią spłynęło,
Ile mogił braci,
A w Sybirze — na Kamczatce
Wielu Moskal traci —
Niech się młode polskie dziecię
Z łzą ciebie zapyta:
Czemu jego matka droga
Załobą okryta?
Niech od ciebie się nauczy
Dziejów swej Ojczyzny
I niech pozna jak ta Polska
Kraj piękny i żyzny...
O! niech wzniesie rączki swoje
I szepce ze łzami;
O Królowo ziemi polskiej
Módl się, módl za nami.
. . . .
Cicha jesień, smutna jesień —
Deszcz o szyby bije,
Tam na dworze wicher słotny
Pieśń zwątpienia wyje.
A tu w chacie przy ognisku
Dziatwa zasłuchana,
W pogawędy nić się snuje
Cudna — nieprzerwana.
Polska żyje, Polska rośnie
W sercach naszych dzieci —
Ona kiedyś — nową wiosną
Promiennie zaświeci —
Więc ty ojcze, i ty matko,
Rzucaj siejby ziarna,
Choć tam jesień — lecz twa praca
O! nie będzie marna,
Bo twe dzieci żywą wiosną
Przyszłości nadzieją...
Gdy dorosną — lepsze czasy
Dla Polski zasieją!!

Jadwiga S.



Malowniczy opis Wielkopolski.

Powiaty poznańskie:
wschodni i zachodni.

Zebrał i wydał
Marcin Biedermann.

(Dokończenie opisu powiatu poznańskiego wschodniego.)

Wieśniacy z okolic Poznania.

Miły to widok, kto ma czułe serce,
Gdy rodzaj ludzi miany w poniewierce,
Rodzaj szacowny, prostej kmiotków rzeszy,
Po dziennej pracy wieczorem się cieszy.
Tam radość szczera, uprzejma, prawdziwa,
To, co jest w sercu na widok odkrywa;
Niemasz zazdrości, obłudy i plotek,
Śpiewa piosneczkę pośród tańca kmiotek.
Niefrasobliwe o przyszłe dorobki,
Skaczą wesołe, ochocze parobki;
Fałszywym tonem skrzypiciel rzępoli,
A młodzież wiejska, wśród płochej swawoli,
Skoczne hołupce wybijając pięty,
Tańcuje żywo z rażnemi dziewczęty.
Krasicki.

Chłopek krakowski, żyzną i czarującą zamieszkujący ziemię, już nieraz był przedmiotem uwagi naszych etnologów; piosnki jego wesołe, równie jak taniec jemu właściwy, malujące lud rzeski, bitny i ochoczy, wprowadzone na scenę przez Bogusławskiego i Kamieńskiego, stały się własnością całego narodu. Najmniej zwrócono dotąd uwagę na chłopka wielkopolskiego. Mniej on jest wprawdzie poetycznym, jak mieszkaniec Ukrainy, Galicyi, albo znany z swej wesołości Krakowiak; widać jednakże w zwyczajach i obrzędach zachowanych dotąd, dowcip, otwartość, szczerość i znamionującą mieszkańca polskiej ziemi gościnność. Rękami swemi uprawia ziemię, mało znając dotąd przemysłu; z jej owoców wyżywia siebie i rodzinę, opłaca podatki, resztę obraca na ochotę w mieście, przyjechawszy na targ z furką zboża lub drzewem, albo też niestety! w trunku zbyt tanim, zatapia, jak się sam wyraża, swe troski. Lecz dzięki łaskawej Opatrzności, iż coraz mniej już widać ofiar ciemnoty; owszem, wszędzie teraz, po ustaniu zaciągów, z ochotą każdy dzieci swe kształci. Są nawet przypadki nierzadkie, iż chłopek syna swego i do wyższych szkół sam, bez pomocy pana oddaje, aby go tamże do wyższego stanu usposobić.

Wykwintnemu mieszkańcowi miasta grubemi się wydają obyczaje i zabawy chłopków od ojców ich przejęte, i wszędzie prawie troskliwie utrzymywane; maluje się w nich prostota, szczerość, a niewyszukana wesołość kieruje każdym ich krokiem. Wesela wieśniaków należą bez wątpienia do największych ich uroczystości. Rycina na czele tego artykułu zamieszczona, przedstawiająca zaloty rzeskiego parobka z swą ulubioną, mniemającego, iż nie jest od nikogo sprzostrzeżonym, jak tylko od przyjaciela, wygrywającego przed karczmą, oraz illustracya albumowa podają nam sposobność do skreślenia obrzędów, przy weselach w W. Ks. Poznańskiem.

Skoro parobek upatrzy sobie wśród rówiennic swoich taką, którą na przyszłą swą towarzyszkę życia wybrać zamyśla, i o skłonności jej ku sobie jest przekonanym, objawia wolę swoją rodzicom swej ulubionej. Ci zapraszają do siebie rodziców jego i po jednym krewnym z obu stron, w obliczu ich następują oświadczenia wzajemnej miłości. Starsi wystawiają wtedy młodej parze powinności małżonków, dają upomnienia, stwierdzają konieczność zastósowania się do nich przykładami z własnego życia wziętemi, zachęcają nareszcie do poddania się Opatrzności, pewni, iż przeznaczenie sercami młodych tych ludzi kieruje. Przekonawszy się nadto o prawdziwem przywiązaniu do siebie nowożeńców, lub też, co się najczęściej zdarza, upatrując w ich połączeniu wzajemną korzyść, błogosławią ich zamiarom, umawiając się zaraz względem dnia wesela i wyznaczając, kogo na nie zaprosić. Narada ta zowie się zwyczaj **zmowinami** i odbywa się w czwartek, przed pierwszą zapowiedzią.

W niedzielę następną jest pierwsza zapowiedź; młoda para przystępuje w dniu tym do spowiedzi i komunii św., a po obiedzie, udaje się do wyznaczonych na wesele gości, aby ich na gody weselne zaprosić. Przy tych zaprosinach najznaczniejszą rolę gra jeden z parobków, zwykle przyjaciel nowożeńca, drużbą nazywany. Jest to biegły powszechnie tanecznik, znający dokładnie wszelkie akta weselnego obrzędy i zwyczaje i kierujący wszystkiem. W czwartek przed ślubem, który zawsze prawie odbywa się w niedzielę, po trzeciej zapowiedzi, idzie drużba starszy w towarzystwie młodszego parobka (młodszego drużby), oba ubrani

jak najochędożniej, mający na ramieniu piękne kolorowe chustki, a w koło siwych czapek, strojne wianki, na żwawych konikach, z okrzykami radości, przybywają przed dom, a pochwaliwszy Pana Boga, tak na weselną ucztę starszy drużba zaprasza:

Niech będzie błogosławiony ten dom, do którego wstępujemy!
Dnia dzisiejszego,
Wieczora czwartkowego,
Winszuje Pan młody i panna młoda,
Dobry wieczór powiada.

Gospodarz tak pozdrowiony pyta się:

Cóż tam powiada ten akt święty
Od Boga i Matki Najświętszej?

Starszy drużba: Nie przyśliśmy tu z umysłu swego,
Tylko z imienia pana młodego,
A ten pan młody z imienia Adama świętego.
Widziałci to sam Bóg z nieba,
Że Adamowi przyjaciela było trzeba:
Wyjął żebro z boku jego,
Postawił je wedle niego,
I stała się żona jego:
Wziął ich do raju wiecznego,
A ów wąż nieszczęsny stał im na zdradzie,
Urwał jabłko z drzewa zakazanego,
I podał Ewie.
Ewa skosztowała,
Adamowi podała.
A Bóg rzekł, Adamie fora z raju mego,
Nie słuchałeś słowa Bożego.
Dał im rydel i motykę,
Kazał im iść na twardą opokę,
Dorabiać się kawałka chleba,
Co nam go wszystkim potrzeba.
Tak i nam dziś, tak i potem
Zalijma się krwawym potem,
Jak się Trójca święta zalewała,
Kiedy Ewę z Adamem łączyć miała.

Także i teraz młody pan przez nas sługi swoje prosi:

Aby ci dwoje ludzi nie byli wzgardzeni,
Do domu Bożego doprowadzeni,
A z domu Bożego,
Do domu weselnego,
Tam ci będziem pospołecznie pożywać,
Co nam Bóg raczy dać.
Teraz prosi na sądek wódeczki,
I na piwa dwie beczki,
Na kaczora warzonego,
Na jendora pieczonego,
Na dwa pieczywa chleba,
Co nam go wszystkim potrzeba;
Na strucel i kołacze,
Co nam gęba na nie skacze;
Na sera i gómułek półkopy,
A jeść będziem, jak proste chłopy.
Będzie tam i co więcej,
Bo i wół na rożnie jęczy,
A drugi w oborze,
Ten nam też dopomoże.
Najlepiej to tam drużbie,
Bo co przyjdzie do kuchni, pieczeni urznie,
Do komory doskoczy,
Piwa sobie utoczy.
Będą też tam skrzypki,
Kto młody, do taneczka chybki;
Będzie tam i bas;
Kto się naje, napije,
Pójdzie do dom w czas.
Będzie tam i parę kokoszy,
Jeśli nam ich co nie rozpłoszy;
Boć to płoche zwierzęta,
Jak młode przepiórczęta,
Przybądźcie na te gody!

W dzień ślubu przybywa on ozdobniej od innych ubrany, z panem młodym i z inną młodzieżą konno, przed dom panny młodej. Tu zastawszy zebranych gości, udaje się wprost do komory, i z niej wyprowadza państwo młode, obsypując ich pochwałami, pomiędzy któremi nieraz gorzki, lecz prawdziwy znajduje się przycinek. Po tem przedstawieniu, powstaje jeden ze starszych gospodarzy i ma do nowożeńców przemowę, która pochodząc z głębi serca, w prostych ułożona wyrazach, zwykle rzęsiste łzy wyciska. Podczas mowy tej trzyma dróżba nowożeńców za ręce, potem prowadzi ich do rodziców, aby rzuciwszy się im do nóg, podziękowali za troskliwe wychowanie. Powtarzają czuli rodzice udzielone już błogosławieństwo swoje, i duda ze skrzypkiem zaczynają grać smutny śpiew, któremu głosem parobcy z dziewkami towarzyszą:

Wyjeżdżamy matuleńko z domu twojego,
Kasia leje łzy ostatnie z serca prawego,
Dajże jej błogosławieństwo
I nad pokusą zwycięztwo,
Matusiu nasza!

Dziękuje ci Kasia twoja za wychowanie,
Tatusiowi też to samo za ukaranie;
Nie karał on bez przyczyny,
Jej tatuś, jej jedyny,
Matusiu nasza!

Po skończonym śpiewie zabierają się wszyscy do kościoła. Drużba wyprowadza gości, pannę młodą wsadza z kilku dziewicami na wóz, gdzie muzyka siedzi: gospodarze z gospodyniami zabierają miejsca na innych wozach; drużba siada na koń z młodzieżą, która ma wśród siebie pana młodego, przybranego w dwie suknie, czapkę z siwego barana, przystrojoną pawiemi piórami i rozmarynem; komenderuje całym pochodem, i uważa pilnie na porządek tak po drodze, jak i w kościele.

Po ślubie wsiada panna młoda z gospodyniami na wóz, obok niej jednakże dwie dziewice. Pan młody konno koło woza zaczyna śpiewać:

„Już jedziemy od ołtarza,
„Jużeś jest moja.“

Panna młoda odpowiada:

„Jeszczem ci nie twoja,
„Jeszczem sobie wolna,
„Między pannami.“

Śpiew ten powtarza się aż do przybycia przed dom weselny. Wrota prowadzące na podwórze domu państwa młodych, znajdują goście zamknięte: dróżba prosi śpiewając stósowną piosnkę, aby mu otworzono, i pozwolono szukać gołębicy białej, która tu uszła; lecz odbiera niepomyślną odpowiedź. Prosi potem, aby gości weselnych przyjęto na popas, lecz i na to nie otwierają bramy: wtedy parobków kilku zakrada się, i odmykają zapory. Drużbowie zsadzają gości, starszy bierze państwo młode i wprowadza wśród śpiewu izby. Tu do obiadu zaczynają się tańce wśród zwyczajnych pieśni: drużba przodkuje z panną młodą, z parobków bierze każdy swoją, duda z skrzypkiem grają to, co drużba piosnką wywoła.

Obiad zastawiony przerywa taniec; tu drużba każdego na miejsce przeznaczone prowadzi; gospodarze z żonami mając wśród siebie państwo młode, zajmują pierwszy stół, parobcy z dziewicami siadają przy drugim. Drużba sam usługuje., przynosi potrawy, stawia na stół napoje, zachęcając do pożywania wszystkiego dowcipnym wierszykiem, umyślnie na to zrobionym.

Po uczcie, gdy każdy prawie podchmielony, zaczyna znowu młodzież tańce. Do obiadu płaci dudzie i skrzypkom państwo młode; po biesiadzie rzucają muzyce pieniądze parobcy. Gdy się wieczór zbliża, biorą gospodynie młodą panią, wyprowadzają ją niespodzianie do komory, a tam zdjąwszy jej wianek rozmarynowy, kładą na skronie jej czepek wśród śpiewu i oczepioną już, płaczącą, wyprowadzają do izby, sadzając za stół pomiędzy siebie. Tu pan młody prosi o nią do tańca; niewiasty każą ją wykupić, zniewolony pan młody częstuje gospodynie i bierze pannę młodą w taniec; lecz ta niechce z nim tańczyć, udając, że jest kulawą; wezwana jednakże przez drużbę do pląsów, skacze żwawo, śpiewając:

Czyja ja teraz, matusiu, czyja ja teraz;
Ni tatusia, ni matusi,
Tylko mego Jasia, tego ja teraz.

Chór parobków odpowiada:

Nie chciała, nie chciała,
We wianeczku chodzić;
Kazała, kazała
Sobie czepek włożyć.
Oj róbcież, oj róbcież
Jej ten czepek pilnie.

Drużba pięć razy wiedzie młodą pannę i mężowi w taniec oddaje, lecz ta za każdą razą kuleje, a z drużbą dobrze tańczy; drużba śpiewa w tańcu:

O dziewczyno! o dziewczyno!
Cóż to z tobą potem będzie?
Smutku mego tyś przyczyną,
Bo cię dzisiaj Jaś posiędzie.
Pozwól Kasia niech ostatni
Raz się z tobą natańcuję;
Bo do czegoż będziem zdatni,
Jak cię Janek opanuje.

Pan młody, niby urażony śpiewa:

Pamiętaj, pamiętaj,
Żal ci tego będzie,
Jeno będziesz zasiadała,
Z kurami na grzędzie;
Ja się będę śmiał.
Pocóżeś nie odmawiała,
Gdym o tobie myślał.

Ona:

A jakże ci odmawiać było,
Kiejś się pięknie prosił;
A za każdem słodkiem słówkiem,
Czapeczkę unosił.

Śpiew ten powtarza się dopóty, aż pan młody nie zawoła: „Pójdź żono moja;“ wtedy przybiega panna młoda do niego, podaje mu rękę, i tańczą tak nazwanego małego. Panna młoda śpiewa:

Com ci Jasiu obiecała,
To ja tobie dam, dam, dam;
Ten wianeczek lewandowy,

Com go zdjęła z mojej głowy,
To go tobie dam, dam, dam,
Bo go jeszcze mam...

Taniec ten kończy uroczystość weselną, która dawniej u bogatszych przez kilka dni trwała. Pan młody dziękuje w końcu gościom, że na weselu jego byli, bierze żonę i wiezie lub prowadzi do domu. Obrzęd tutaj skreślony jest powszechnym w większej części Wielkiejpolski, lubo w wielu miejscach różne uważano w nim odmiany, mniej jednak znaczące. *L. P.*

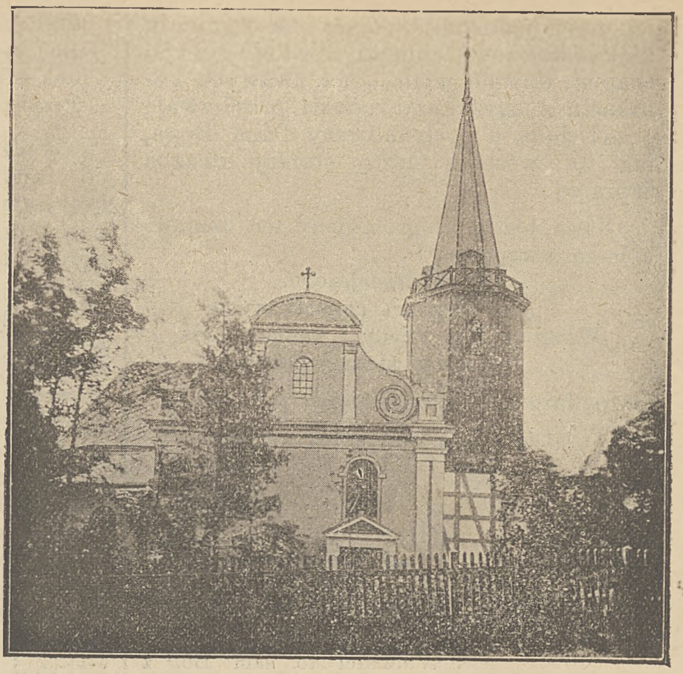
W poprzednim numerze pisaliśmy o Kobylepolu, a poniżej zamieszczamy w dalszym ciągu opis znaczniejszych majątków polskich w powiecie poznańskim wschodnim:

Uzarzewo.

Uzarzewo, dobra rycerskie, o dwie mile od miasta prowincyonalnego Poznania na wschód przy torze kolejowym Poznań - Gniezno, nad rzeczką Cybiną z folwarkiem Święcinek położone, były i są od niepamiętnych czasów w posiadaniu polskiem. Teraźniejszą właścicielką tej majętności jest pani Z. Żychlińska, wdowa po niedawno zmarłym ś. p. Józefie Żychlińskim, a córka po zmarłym przed 60 laty Józefie Lipskim, poruczniku wojsk polskich. Wieś posiadająca szkołę elementarną, wraz z kościołkiem parafialnym św. Michała w roku zeszłym dopiero świeżo odnowionym, nieomal własnym kosztem dziedziczki, przedstawia piękny widok.

Dom pański ozdobiony wieżą i chorągiewką, wraz z wspaniałym ogrodem, bogatym w zagraniczne drzewa, krzaki i kwiaty, u którego podnóża przeszło stomorgowe jezioro, otoczone pagórkami się roztacza, przedstawia piękny widok. Pewien niemiecki badacz będąc przed 6 laty w Uzarzewie umyślnie, aby się wiosce przypatrzyć, mówił, że czytał w niemieckich opisach, że wieś ta musiała kiedyś być miejscem obronnem czyli twierdzą i to też być mogło, ponieważ dom pański i ogród otaczają na wschód i zachód znaczne parowy, a na południe trzy piętra wysokie tarasy.

Mało zachowało się miejscowych wspomnień historycznych z przeszłości Uzarzewa. W aktach kościelnych w Swarzędzu jest opis wydarzenia, które się stało na łąkach Uzarzewskich, że gdy jeszcze nie było bitego traktu do Poznania, jakiś kupiec jadąc z towarami, uwiązł z końmi na Uzarzewskich łąkach, i był blizki zatopienia, lecz gdy zrobił wotum św. Katarzynie, że jeżeli go wyratuje z tego niebezpieczeństwa, postawi kościół pod jej wezwaniem w Uzarzewie, ocalał szczęśliwie! — i wystawił rzeczywiście kościół pod wezwaniem tej świętej. Z biegiem czasu kościół został przeniesiony do wsi Uzarzewa, i zostało tylko wiadome miejsce, gdzie stał stary kościół, a ludzie przezwali takowe „Katarzynki.“ Teraźniejszy kościół stoi przeszło 150 lat, i ząb czasu byłby go mocno pochylił, gdyby nie gruntowna reparacya; w roku zeszłym, jak już wyżej wspomnieliśmy, został znowu wyrestaurowany, powiększony i upiększony przez przybudowanie kaplicy grobowej, połączonej z kościołem dwoma portykami.



Kościół w Uzarzewie.

Kto i kiedy pierwotny kościół parafialny we wsi Uzarzewie założył, nie wiadomo. Istniał on atoli już w początkach 16 wieku, bo księga *beneficiorum* z roku 1510 go o nim wspomina. Od samego początku był drewnianym i w czasie wizyty Strzałkowskiego w r. 1638 w dobrym stanie. Wspomniona wizyta mówi o nim: „Uzarzewo, wieś ur. Mikołaja Mielżyńskiego, kasztelana gnieźnieńskiego, w niej jest kościół drewniany pod tytułem św. Michała archanioła, kolacyi dziedzica miejsca.“

W r. 1725 w czasie wizyty Libowicza już był bardzo nadwerężonym. Wizyta ta tak go opisuje:

„Kościół ten stary, drewniany, wymagający reperacyi, pokryty dachówką, ale dach na nim jest także bardzo zły. Kolatorem jest dziedzic wsi, obecnie urodz. Aleksander Napruszewski.“ W r. 1749 syn tego Napruszewskiego, Felicyan, kazał stary kościół uzarzewski rozebrać i w miejsce jego wzniósł nowy w tak nazwany mur polski. Kościół uzarzewski nie posiada w sobie żadnych zgoła pomników z przeszłości. Księgi jego zaczynają się od roku 1648.

Nie daleko od wsi, stoi wysoki kopiec, wyraźnie rękami usypany, a podanie trwa dotąd, że pochodzi z czasów wojny szwedzkiej, co zdaje się potwierdzać kula żelazna, znaleziona głęboko w ziemi, taka sama, jakie są w Częstochowie, z czasów wojen Jana Kaźmierza ze Szwedami. Kula ta znajduje się w zbiorach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

W Uzarzewie istnieją dwa Towarzystwa: Kółko rolnicze i Towarzystwo pszczelarzy.

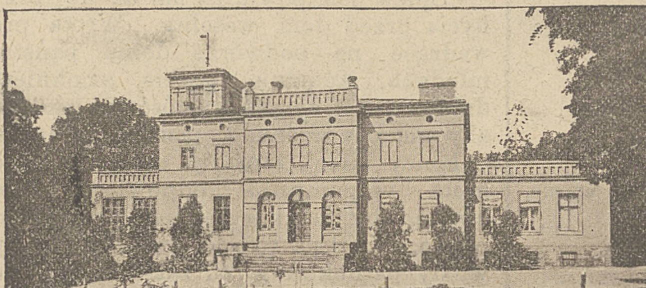
* * *

Stała Kolonia Wakacyjna w Kobylnicy i przyszła Stacya Sanitarna.

Od trzech lat ma W. Ks. Poznańskie własną stałą kolonię wakacyjną w Kobylnicy pod Poznaniem. Dziś kiedy budynki stanęły, kiedy park, około Kolonii założony, pięknie się rozwija, wydać się może zwiedzającemu, że założenie takiej Kolonii to sprawa bardzo łatwa.

A jednak dużo było potrzeba zabiegów, trzeba było dużo prosić i kołatać, zanim zebrało się sumę potrzebną na ufundowanie tej Kolonii. Towarzystwo zajmujące się wysyłką dzieci na wakacye dokonało tego wszystkiego w krótkim stosunkowo czasie.

Zwyczaj wysyłania biednej dziatwy szkolnej na wakacye praktykowany był u nas od dawna. Wprowadził ten zwyczaj ś. p. Franciszek *Dobrowolski*, naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego,“ lecz myśl założenia stałej Kolonii wakacyjnej, w której możnaby pomieścić znaczniejszą liczbę dzieci, rzucił p. Aleksander *Januchowski*, członek Towarzystwa „Stella.“ Towarzystwo myśl tę zaakceptowało i poczęło się starać o jej urzeczywistnienie. W Towarzystwie utworzony został osobny Wydział dla Kolonii Wakacyjnych. Po dłuższych staraniach i zabiegach zadzier-



Dwór w Uzarzewie.



Wesele chłopskie w Wielkopolsce.

Drukiem „Pracy.“

żawiono od śp. hr. Cieszkowskiego budynek dawniejszej szkoły rolniczej „Halina“ w Żabikowie i tam po raz pierwszy przed 5 laty umieszczono 80 dzieci. Z biegiem czasu zatęskniło Towarzystwo za własnym kątem.

Na zakupno gruntu i pobudowanie odpowiednich ubikacyi potrzebnym był jednakże kapitał. Kapitał taki częściowo już istniał, a był nim fundusz jubileuszowy ś. p. Franciszka Dobrowolskiego. Kuratorem tego funduszu jest p. radzca sprawiedliwości Jan Głębocki. Zarząd Towarzystwa przedłożył plan swój panu Głębockiemu i tenże go nietylko zaakceptował, lecz nabył lat temu trzy grunt w Kobylnicy.

Z wiosną roku 1898 przystąpiono do budowy koniecznych budynków, a w następnych latach zajmowano się upiększeniem instytucyi.

Kolonia wakacyjna składa się z dwóch większych budynków. Jeden murowany, piętrowy, to dom mieszczący sale sypialne, w których można pomieścić około 200 dzieci, drugi parterowy, z drzewa zbudowany, z werandą od frontu, mieści w sobie salę jadalną, kuchnią i śpiżarnią. Urządzenie wewnętrzne jest skromne, lecz celuje czystością — a przestronność obu budynków odpowiada najzupełniej wszelkim wymaganiom hygienicznym. Rok temu założono według planu hr. Engeströma piękny park, a drzewa, bujnie się rozwijające, dają nadzieję, że za lat kilka nie zabraknie cienia w upalne dni lata.



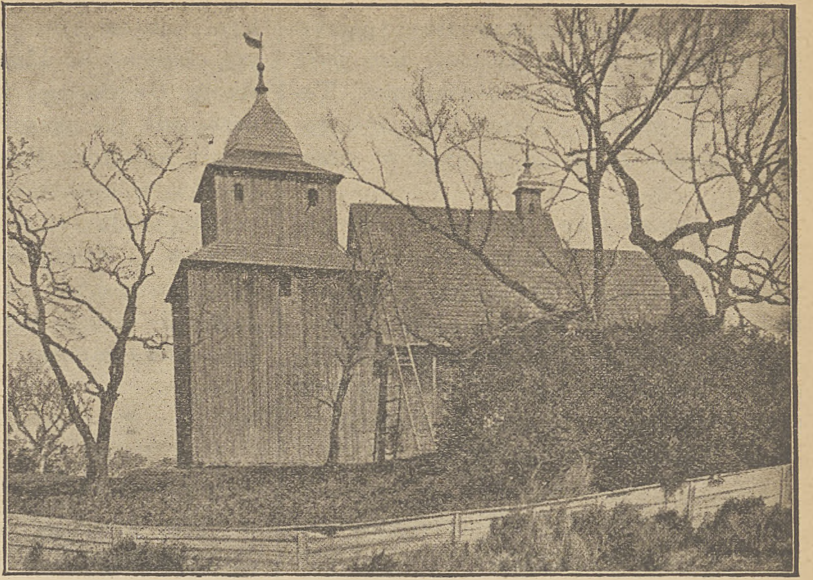
Kolonia wakacyjna w Kobylnicy.

Co roku więc polska dziatwa szkólna w liczbie przeszło 100 przebywa tam czas wakacyjny pod okiem doświadczonych dozorczyń i wraca pokrzepiona na duchu i ciele do domów.

Dzieci rozwijają się na tej kolonii pod względem fizycznym znakomicie. Wystarczy tu przytoczyć kilka liczb z ostatniego sprawozdania Kolonii wakacyjnej:

Statystyka przyrostu na wadze z roku ostatniego brzmi: „Dziewczętom przybyło wagi najmniej 00 — najwięcej $12^1/_2$ funta — chłopcom najwięcej $7^1/_2$ funta — są to rezultaty bardzo dodatnie.“

Lecz nie małe są też koszta utrzymania takiej kolonii — w przeszłym roku na utrzymanie całej kolonii przez cztero-tygodniowy pobyt dzieci, licząc w to oczywiście podróże dzieci, ochroniarek i t. p., wydano 1686,24 mk. To też trzeba co roku starań i zachodów niemało, aby potrzebne na utrzymanie dziatwy sumy zebrać. Natomiast na własności Towarzystwa żadne już długi nie ciążą, chyba że za dług uważać kto zechce 10,000 mk. pożyczonych na lat 30 bez procentu przez pana Gąsiorowskiego z Paryża, właściciela obszernych dóbr w Wielkopolsce.



Kościół w Wierzenicy.

Bardzo korzystnem dla zdrowia dzieci jest bliskość lasów Wierzenickich, w których dzieci codziennie odbywają przechadzki. Strawa na koloniach jest niewykwintna, lecz posilna i zdrowa, o czem świadczą wyżej wymienione rezultaty.

Kolonią tę nazwano celem uczczenia pamięci zasług obywatelskich ś. p. *Fr. Dobrowolskiego*, kolonią *Fr. Dobrowolskiego*. — Być może, że dzieło stworzone, nie jest doskonałem, w każdym razie świadczy ono o wielkiej ofiarności społeczeństwa naszego.

A teraz jeszcze słów kilka o przyszłej *stacyi sanitarnej*.

Były członek zarządu, przedwcześnie zgasły ś. p. dr. *Tomasz Drobnik*, zwrócił uwagę na to, że dużo dzieci wychodzących ze szpitali wyleczonych, marnieje w rekonwalescencyi z powodu braku opieki. Temu należało zapobiedz.

Zarząd Towarzystwa uznał tę myśl jako pożyteczną i postanowił zamienić dom mieszkalny dotąd wydzierżawiany letnikom, znajdujący się na gruncie kolonii, na stacyą sanitarną.

Dom jest zbudowany z cegły, masiw. Trzeba było oczywiście wewnątrz odpowiednie zmiany poczynić, aby go uczynić podatnym do wyżej wymienionego celu. W dawniejszych budynkach gospodarczych pomieszczono łazienki, spiżarnie i dołączono sklep. Kolonia sanitarna czeka gotowa na małych gości i potrzebne do ich utrzymania fundusze.

Mam nadzieję, że fundusze te tak samo się znajdą, jak się znalazły na pobudowanie i utrzymanie Kolonii Wakacyjnych. Daj to Boże!

Pod koniec należy mi wymienić panów należących do Zarządu.

Zarząd składa się z następujących panów:

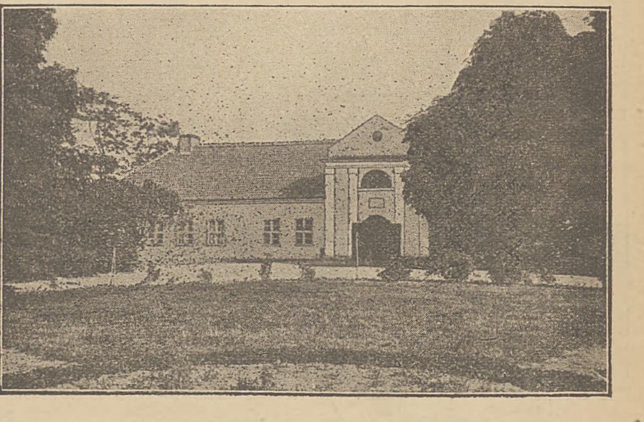
Albin Andruszewski — prezes, *hr. Benzelstjerna-Engeström*, wiceprezes, *Walery Łebiński*, sekretarz, (Wielkie Garbary 50), *Bolesław Ziętkiewicz*, skarbnik, (ulica Nowa Bazar), *Kaźmirz Adamski*, *książę Zdzisław Czartoryski*, *Jan Czorba*, *Czesław Foerster*, *Jan Głębocki*, *Aleksander Januchowski*, *Bolesław König*, *dr. Bolesław Krysiewicz*, *dr. Władysław Łebiński*, *hr. Zygmunt Skórzewski*, *X. prałat Stychel*, *Stanisław Trzeciakowski*, *Józef Winiewicz*, *hr. K. Żółtowski*.

Towarzystwo w tym roku zmieniło nazwę i nazywa się obecnie *„Tow. Kolonii Wakacyjnych i Stacyi Sanitarnych „Stella“*. *Acer.*

* * *

Wierzenica.

Wieś Wierzenica w XVII wieku była własnością Chudzińskich, w XVIII Koźmińskich.



Dwór we Wierzenicy.

Już w początkach szesnastego wieku istniał w Wierzenicy kościół, lecz była to maleńka drewniana świątynia. Teraźniejszy kościół wierzenicki, nie zawiera zgoła żadnych pomników przeszłości.

Wierzenica leży nad rzeczką Główną, a oddalona jest o 6 kilometrów od Swarzędza, a 2 klm. od stacyi drogi żel. Kobylnicy.

Wierzenica jest w posiadaniu rodziny hr. Cieszkowskich. Wierzenica była ulubionem miejscem pobytu znanego filozofa Augusta Cieszkowskiego.

* * *

Owińska.

Utrzymuje się legenda, że żona króla Przemysława topić się miała na łąkach między Bolechowem a Owińskami i votum zrobiła, że tam założy klasztor, gdzie szczęśliwie na ląd stały wyjedzie. Tak miał być fundowany klasztor w Owińskach. Kościół w Owińskach, którego



Kościół poklasztorny w Owińskach.

rycinę zamieszczamy, jest prawdziwie piękny i stylowy; odbudowano go po pożarze. W kościele są piękne, stare zabytki i ornaty z dawnych czasów. Lud Owińska dotąd nazywa „Łowińska“ — może więc nazwa od łowów pochodzi.

Owińska należą do rodziny Tresków. Jest tam wielki zakład prowincyonalny dla obłąkanych, najstarszy w W Ks. Poznańskiem.

* * *

Bolechowo.

Majątek Bolechowo, który ojciec teraźniejszego właściciela, p. dra Tadeusza Szułdrzyńskiego, kupił w roku 1873, należał, jak cała tutejsza okolica, do klasztoru Owińskiego i przeszedł po skasowaniu klasztoru Cystersów w ręce niemieckiej rodziny Tresków. Pamiątek historycznych nie ma żadnych w obrębie Bolechowa samego.

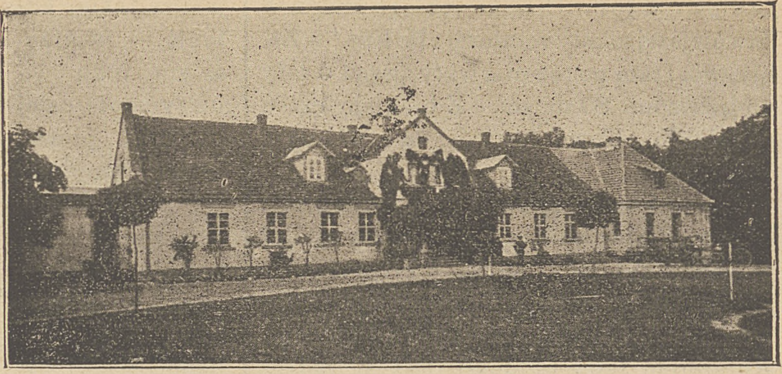


Kościół we Wronczynie.

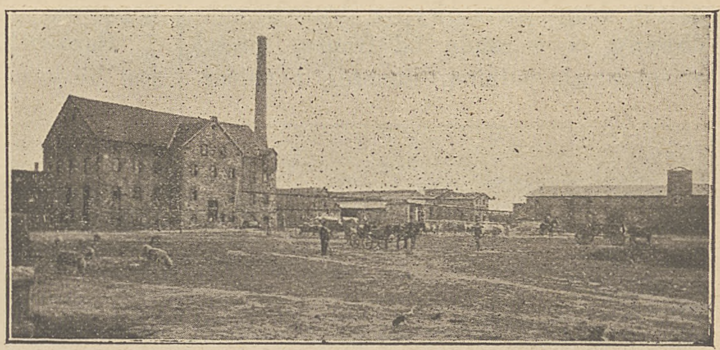
* * *

Wronczyn,

— wieś rycerska, własność p. dra T. Jackowskiego — należał dawniej do Białobłockich, potem do Skaławskich. W r. 1856 przeszedł w ręce niemieckie, z których go wykupił teraźniejszy dziedzic w r. 1899. Jest legenda, że św. Wojciech idąc do Gniezna nawracał pogan w tutejszej puszczami naówczas zarosłej okolicy, i odprawił mszą św. pod świętym dębem w miejscu, gdzie teraz kościół stoi.



Dwór we Wronczynie.



Gorzelnia we Wronczynie.

* * *

Pomarzanowice.

Pomarzanowice — wieś rycerską, własność p. dra Jackowskiego — kupił przed przeszło pół wiekiem od Grabowskiego ojciec teraźniejszego dziedzica, sędziwy Patron-Jubilat, p. Maksymilian Jackowski. Przed Grabowskim długie lata mieli ją Daleszyńscy.

Złotniki

Złotniki — wieś rycerska, własność p. Bronisława Szlubowskiego, dziedzica dóbr Radzyńskich w Królestwie Polskiem — należały dawniej do Wronczyna. — Od Niemca kupił je w r. 1898 ter. dziedzic.

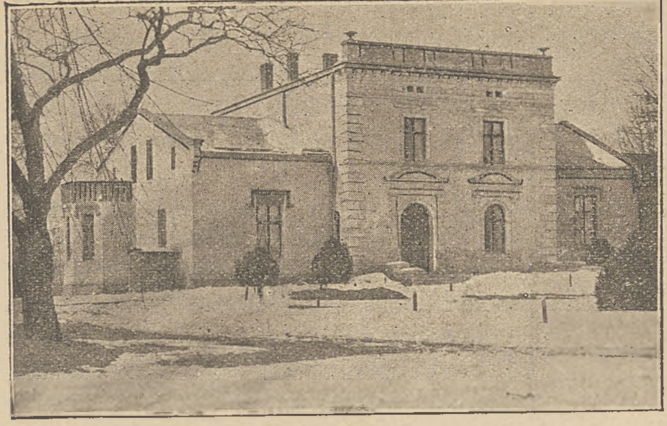


Dwór w Pomarzanowicach.

Kociałkowa Górka.

Kociałkowa Górka, majętność p. Seweryna Radońskiego odznacza się ślicznem, górzystem położeniem. Pomiędzy Kociałkową Górką a folwarkiem Nową Górką leży t. zw. „Szaniec“, dziś mało widoczne okopy z czasu najazdu Szwedów na Polskę. Tuż za wsią leży piaszczyste wzgórze, zwane „Winnicą“, które w przedhistorycznych czasach było prawdopodobnie cmentarzyskiem pogańskiem, gdyż znajdują tam od czasu do czasu resztki łzawic i urn w czarnej, dymem cuchnącej ziemi. Na południe od wsi leży w dobrej ziemi piaszczystej kopiec „Czubatka“, gdzie dwa lata temu wykopano szkielet mężczyzny z ostrogami u nóg.

* * *

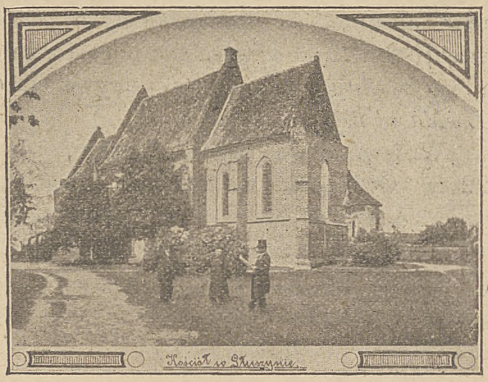


Dwór w Kociałkowej Górce.

Głuszyna.

O Głuszynie podaliśmy notatkę w numerze poprzednim w wykazie majątków polskich w powiecie poznańskim wschodnim na stronie 1110 ej, dokąd odsyłamy Czytelnika. Dziś zatem ograniczamy się na opisie miejscowego kościoła.

Kościół głuszyński tytuł. św. Jakóba longe ante 1296 ufundowany przez nieznanego, bo go w tym roku Jan Gerbisz, biskup Poznański, na prośby miejscowego dziedzica, Mikołaja Palatyna kaliskiego, wyniósł do godności Kollegiaty.



Kościół w Głuszynie.

Tenże Mikołaj sowicie kościół udotował i jednego proboszcza oraz 3 kanoników przy tymże kościele ustanowił.

Teraźniejszy kościół murowany, konsekrowany prawdopodobnie w wieku XIV., w pięknym poprawnym stylu gotyckim wystawiony w roku 1582 z wszystkiemi dochodami przez Łukasza Kościelskiego biskupa Poznańskiego do kościoła resp. Collegiaty Wszystkich ŚŚ. w Poznaniu inkorporowany został, zaś w roku 1720 collegiatę jako i kościół Głuszyński Krzysztof Antoni Szembek biskup pozn. przyłączył do kościoła św. Maryi Magdaleny. Kościół dzisiejszy bardzo miły i piękny przedstawia widok. Składa się z 2 naw z pięknymi łukami, welbowany środek jednak kościoła wybity gustownie deskami. Ze starożytnych pamiątek posiada tylko 2 kamienie do wody święconej prawdopodobnie z dalekiej przeszłości, na których znajdują się znaki jakoby przedstawiające bitwy, których odczytać jednak nie można.

Kościół wyłożony przed laty 17 flisami wprost ze Szwecyi sprowadzonemi przez ówczesnego proboszcza śp. Walentego Zientkiewicza, zmarłego 11 lipca 1895 roku, życia 78, 52 kapłaństwa, zarządzającego parafią Głuszyńską lat 33.

* * *

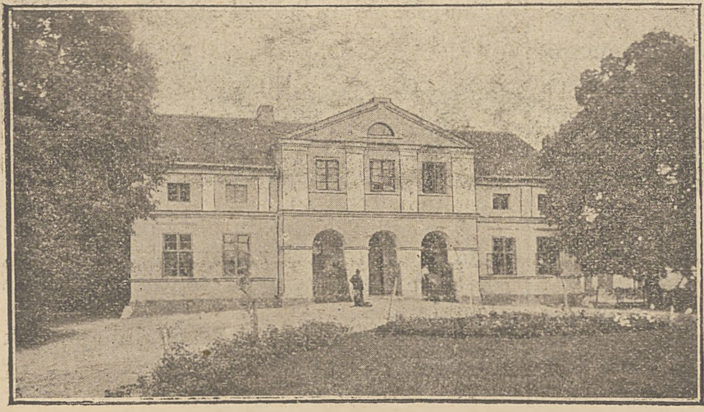
Bednary,

wieś rycerska pod Pobiedziskami ma obszaru 519 hektarów przeważnie ziemi ornej. Majętność tę nabył znany obywatel i zawołany gospodarz p. Siciński — z rąk niemieckich i można żywić nadzieję, że ten piękny kawał ziemi już teraz nie wyjdzie z rąk polskich.

* * *

Pobiedziska.

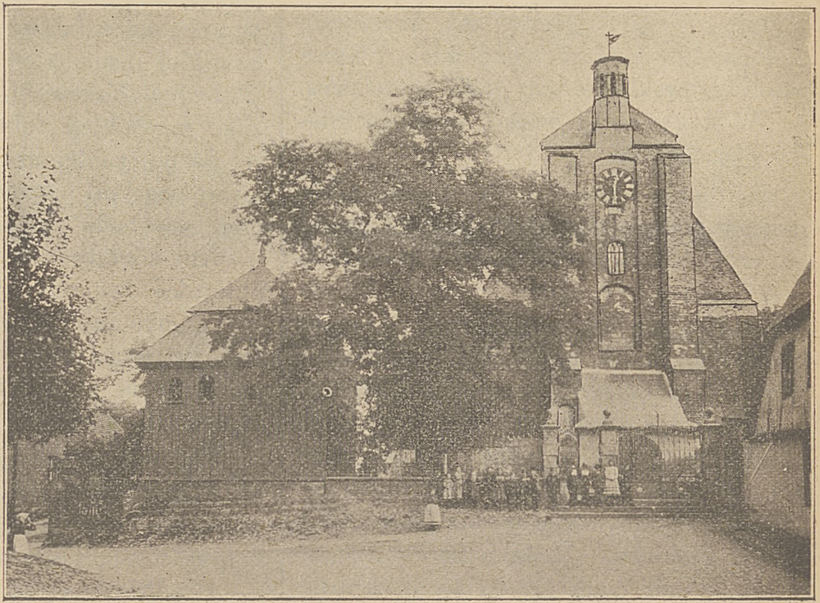
Pobiedziska (mylnie: „Pobiedzisko“), niem. Pudewitz, miasto położone przy kolei żelaznej poznańsko-toruńsko-bydgoskiej, odległe 27 klm. od Poznania, leży wśród równiny nad jeziorem Piestrachowem i niedaleko jeziora Lednickiego, między Główną i Cybiną, dopływami Warty, w okolicy pagórkowatej.



Dwór w Bednarach

Pieczęć miasta z XVII wieku przedstawia herb Łodzia (złotą łódź w czerwonem polu). Mieszkańcy trudnią się rolnictwem i handlem ziemiopłodów.

Kościół par. pod wezw. św. Michała istniał już przed rokiem 1331. W miejsce starego, drewnianego, stanął dzisiejszy kościół z cegły palonej, odnowiony po zgorzeniu i konsekrowany 1596 r. przez Jana Gniazdowskiego, sufragana gnieźnieńskiego, opata mogilnickiego. Tenże dostojnik rekoncyliował też cmentarz pobiedziski, sprofanowany przez rozlew krwi. W ścianie, po lewej stronie ołtarza, umieszczony jest pomnik marmurowy Stanisława Grota, doktora obojga praw, kanonika gnieźnieńskiego, plebana miejscowego († 1634 r.) W r. 1873 parafia miała 2373 dusz. Drugi kościół pod wezwaniem św. Ducha, fundowany przez Władysława Jagiełłę, uposażony na nowo przez dziedziców Górki Kociałkowej i mieszczan pobiedziskich, po zgorzeniu odbudowany z drzewa i w r.



Kościół św. Michała w Pobiedziskach.

1596 konsekrowany przez wspomnianego Gniazdowskiego, już od dawna nie istnieje. Runęła także kaplica pod wezwaniem N. M. Panny, z cudownym obrazem, uposażona w XVI wieku przez Agnieszkę Gburę, mieszczankę pobiedziską; po niej pozostał tylko krzyż pamiątkowy; szpital założył przy kaplicy król Władysław Jagiełło około 1423.

Pobiedziska, których sama nazwa wskazuje na stoczoną tu niegdyś zwycięską bitwę, są — według domysłu prof. Maryana Sokołowskiego — grodem, który Kazimierz Odnowiciel zbudował na miejscu zwycięztwa, odniesionego nad Masławem. Wedle prawdopodobieństwa wszelkiego stoczono tu bitwę nie z Masławem, lecz z Pomorzanami.

Pobiedziska były zdawna własnością książąt panujących wielkopolskich i miały zamczysko, które służyło jako ich rezydencya.

W połowie XIII wieku, przy podziale ziem wielkopolskich dostały się Pobiedziska Bolesławowi, synowi Władysława Odonicza. W roku 1306 poddała się

Wielkopolska Henrykowi, księciu śląskiemu, w roku 1312 dzielą się nią synowie jego, a Pobiedziska dostały się Bolesławowi i Konradowi, lecz wróciły niebawem do Korony polskiej. W roku 1331 Krzyżacy najeżdżając kraj, zburzyli kościół, zamczysko i prawie całe miasto. W połowie XV wieku dostały się Pobiedziska od Władysława II sławnemu mężowi wielkopolskiemu Łukaszowi Górce, wojewodzie poznańskiemu. W końcu tegoż wieku wracają Pobiedziska jako królewszczyzna, znowu do Korony.

W roku 1513 ponowił król Zygmunt I. Stary nadane już poprzednio przywileje miast na prawie niemieckiem. Wedle tych przywilejów wolni byli mieszczanie od myt i opłat targowych w promieniu 7 mil; miasto zaś korzystało z dochodów z jatek rzeźnickich, piekarskich i szewskich oraz z pobliskich lasów.

W końcu XVI wieku zgorzało miasto doszczętnie.

Starostwo niegrodowe pobiedziskie należało do powiatu gnieźnieńskiego, województwa kaliskiego. Następnie pod rządem pruskim przez długie czasy Pobiedziska należały do powiatu średzkiego, a od niedawna przyłączono je do poznańskiego powiatu wschodniego.

Dziś liczą Pobiedziska około 3000 mieszkańców — Polaków około 1400—1500. Jak na małe miasteczko, jest w Pobiedziskach żydów więcej niż przeciętna liczba Polaków. Rodzin katolicko-niemieckich jest mało (15—16). Jest tutaj zbór ewangelicki, zbudowany od lat dziesiątek na miejscu kościoła św. Ducha, bóżnica, dwie szkoły, katolicka i ewangelicka, jest szkoła dziewcząt dla wszystkich wyznań oraz prywatna szkoła przygotowawcza do gimnazyum, jest sąd okręgowy z dwoma sędziami, a przy nim pełni obowiązki adwokata p. mecenas Szafrański. Właścicielem apteki jest pan Nałęcz; lekarzami są pp. Alkiewicz i Kossowski. Istnieje tutaj Towarzystwo przemysłowe; prezesem jest ks. Niemir, wikary. Handel i przemysł polski spoczywa w ręku następujących firm względnie osób: Maciejewski, handel żelaza i restauracya, Wegner handel żelaza i restauracya, Białkowski, mistrz blacharski, Waberski, kupiec wywozowy na bydło i rzeźnik, Łysiński, skład piwa, Młodecki, mistrz piekarski, St. Marecki i Hotel du Nord Waberskiego. Wielką konkurencyą stawia naszym kupcom i przemysłowcom hakatystyczny „Kaufhaus“, jeden z pierwszych tego rodzaju.

Zamykając na powyższem opis malowniczy miast i wsi w powiecie poznańskim wschodnim kończymy go następującym szkicem historycznym:

List zamykający w sobie okoliczności i powstanie Województwa Poznańskiego dnia 27-go września 1794 roku.

Czytając w pismach publicznych mylne po większej części doniesienie o powstaniu wielkopolskiem, dokładniejszą o niem wiadomość, jako od początku insurrekcyi jej działaniom przytomny, publiczności udzielam.

Obywatele wielkopolscy, zagarnieni zdradą i przemocą chytrego sąsiada, pod jarzmo jego panowania, cieszyli zawsze swą niedolę nadzieją, że im przecież Opatrzność poda kiedyś pomyślną do powstania porę. Z uczuciem więc najwyższej radości powzięli wiadomość o krakowskiej insurrekcyi pod naczelnictwem *Tadeusza Kościuszki.* Odtąd jedna była chęć wszystkich dobrze myślących, aby się jak najrychlej uzbroić i złączyć z braćmi walczącymi przeciwko tyranom, o ziemię i swobody ojczyste.

Ani zdołały ich ułudzić pochlebne obietnice despoty, wystawiające największe pomyślności spokojnym poddanym, ani ustraszyć surowe groźby kar wymierzonych przeciwko tym, którzy by zapragnęli wolności.]

Mimo największej ostrożności rządu, który wszystkie niemal posiedzenia obywatelskie szpiegami obsadził, znaleźli dobrze myślący sposobność porozumienia się i umówienia się o środkach w celu przywiedzenia swych zamysłów do skutku.

Jakoż po kilkakrotnych zjazdach do domów prywatnych, dnia 21 sierpnia, obywatele Województwa Poznańskiego, licznie się zgromadziwszy, przedsięwzięli jednomyślnie wszyscy, już dłużej nie odwlekać powstania; owszem tenże zjazd za początek związku swego mieć postanowili. Przytomni wówczas byli obywatele: *Hipolit Rogaliński, Józef Niemojewski, Antoni Gliszczyński, Józef Miaskowski, Antoni Wyganowski, Hieronim Parczewski, Wojciech Sadowski, Sebastyan Bieńkowski, Nereusz i Bonawentura Kaczorowski, Piotr Zaremba, Jan Zembrzuski* i innych wielu. W szczupłej jednak jeszcze będąc liczbie zaczepiać nie mogli nieprzyjaciela, wszędzie w poblizkości komendy swe mającego. Pierwszy swój obóz założyli pod *Srzemem*, gdzie magazyn pruski, do statysięcy złotych wartujący zebrali. Dopiero dnia 27 tegoż miesiąca, zebrawszy siły zbrojnej do 600 głów, stanęli pod *Rąbinem*; tam spisali formalny akces do insurrekcyi krakowskiej; osoby do komisyi porządkowej i sąd kryminalny wybrali.

Poczem akt cały w kole obozowem był przeczytany; przysięgi na posłuszeństwo władzom krajowym, przez insurrekcyą postanowionym, wykonane zostały. W niedostatku zaś kasy publicznej, każdy na początkowe potrzeby powstania złożył ofiarę, jaką mu wówczas złożyć możność dozwalała.

Z pod *Rąbina* siła zbrojna udała się do *Szmigla*, gdzie mieszkańcy, mimo związków języka i wyznania, które ich łączyć z nieprzyjacielem zdawały się, ogłoszenie powstania najchętniej przyjęli i broń, jaką mieć kto mógł, złożyli. Ztamtąd poszli pod *Racad*, nie daleko *Kościany* (!), gdzie doszła ich wiadomość, że do Kościany Prusacy w liczbie 400 piechoty i 200 jazdy, z komendy generała *Mauszteyna* przybyli, i na dwie części rozdzielili się; jedna stała w samem mieście, druga na gościńcu. Na tę uderzyć nasi determinowali się; jakoż nasze pikiniery, w liczbie 120, wpadli na nich z takim impetem, że zaraz szyki karabinierom i jegrom połamali, ludzi 30 ubili, i cały ekwipaż generała Mansztey-na zabrali. Ale postrzegając, że silniejszy sukurs pruski z armatami nadchodzi, pod wieś *Mchy* rejterowali.

Wojsko też insurrekcyjne, dotąd ze samych strzelców, pikinierów i kosynierów złożone, z przybywających coraz więcej ochotników wzrastać poczęło, i dopiero w *Słupcy* z korpusem obywatela *G. L. Madalińskiego* złączyło się.

Województwo Gnieźnieńskie, dnia 22 w Gnieźnie, województwo kaliskie dnia 24 w Pyzdrach, i w tymże czasie województwo brzeskokujawskie powstało. (Gazeta wolna Warszawska, Nr. 49 z dnia 11 października 1794, z Biblioteki Mycielskich w Kobylempolu.)

Myśli jesienne.

Najczęściej się zdarza, że dzieci rozumu bywają pasierbami szczęścia.

Genialna jednostronność jest daleko więcej warta, niż utalentowana wielostronność.

Jakże często podwładni odgrywają rolę tylko bibuły, przeznaczonej do wywabiania plam, robionych przez przełożonych!

Co pan wie o służącym? Nic. Co służący o panu? Wszystko.

Gdy łaska pańska obiecuje ci wdzięczność, westchnij i pomyśl sobie w głębi duszy, że niezapominajki nie rosną na wysokich drzewach.

Krzysztof Kolumb, choć odkrył Amerykę, nie byłby tak znany, jak jest znany, gdyby nie był wykonał popularnego figla z jajkiem.

Pamięć nie jest niczem innem, jak tylko skarbonką ducha.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy.)

Równocześnie wszedł do pokoju młody, ładny mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna, ubrany skromnie, ale wytwornie. Czarne włosy były krótko przystrzyżone, a również ciemne oczy patrzały wesoło i swobodnie na świat i ludzi.

Proboszcz obrócił się i uradowany pobiegł ku niemu.

— Dzięki Bogu, że przyszedłeś, szepnął — samo niebo zesłało cię tu, kochany Gastonie, abyś pocieszył pana Lemarche w jego nieszczęściu!

— O cóż to chodzi? zawołał Gaston przerażony. — Czy w zamku umarł kto?

— Tak, markiza!

— O Boże! Biedny ojciec! Jakże go tu pocieszyć!

Pan Lemarche podniósł się teraz wolno i wyciągnął rękę do Gastona.

— Moja córka nie żyje, rzekł złamanym głosem, — muszę więc jechać natychmiast do Saint-Luc. Pojedziesz ze mną, Gastonie. Dowiedz się, kiedy odchodzi pierwszy pociąg i każ zaprządz do powozu.

Młody książę wyszedł, wysłał telegram do Bisona z prośbą o przysłanie koni na dworzec i przygotował wszystko do wyjazdu.

Potem udali się wszyscy trzej panowie na kolej. Głębokie milczenie panowało w wagonie, ani ksiądz, ani Gaston nie śmieli go przerywać, dopiero, gdy pociąg zbliżał się do Amiens, zapytał pan Lemarche proboszcza o bliższe szczegóły śmierci córki. I teraz musiał kapłan wyznać całą okropną prawdę, chociaż sam nie wiedział więcej jak to, co mu Bison w krótkich opowiedział słowach.

Około północy nareszcie stanęli na miejscu. Bison i doktor Border przyjęli ich na schodach, a Lemarche, zmuszając się do okazywania pewnego spokoju, zażądał, aby go natychmiast zaprowadzono do zwłok córki. Ciało zmarłej, zabalsamowane po dokonanej sekcyi, leżało w sypialni na łóżku, otoczonem palącemi się świecami, Paulina i dwie siostry Miłosierdzia czuwały nad niem.

Nieszczęśliwy ojciec upadł na kolana przy zwłokach swego jedynego szczęścia i długo bardzo trwało, zanim Gaston i proboszcz zdołali go nakłonić do opuszczenia tego ponurego miejsca. Przeszedłszy w końcu do buduaru, prosił Bisona o wyjaśnienie morderstwa i o rezultat badań prokuratora.

Gdy usłyszał, że mordercy nie znaleziono, i że drzwi wszystkie były zamknięte, spojrzał przenikliwie na księdza i rzekł:

— Wiem, kochany proboszczu, że będąc serdecznym przyjacielem mego zięcia, bywałeś często w zamku i że znasz wszystkie jego kąty, nieprawdaż?

— Tak!

— Nie słyszałeś tu nigdy o jakim tajemnym ganku?

— Nigdy! Wątpię też, czy coś podobnego mogłoby tu istnieć, bo markiz musiałby o tem wiedzieć, a w takim razie nie wyznaczyłby żonie pokoi, mających styczność z tajemnemi wejściami.

— I pan, dodał Lemarche, zwracając się do Bisona, — też nic o tem nie wiesz?

— Nie, ale jestem przekonany, że markiz byłby mi albo pokazał ganek, albo przynajmniej powiedział o nim, gdyby był istotnie.

— A przecież nikt nie mógł wejść przez mur albo zamknięte drzwi i zamordować moją córkę, nie zostawiając żadnego śladu swej bytności!

— Tak, prokurator i sędzia śledczy nie umieją sobie tego w żaden sposób wytłómaczyć — zawołał doktor. Lemarche z rozpaczą załamał ręce.

— Dla kogo pracowałem całe życie, jęknął głucho. — Moja córka, moja jedyna pociecha, została zamordowaną, a wszystkie moje miliony nie mogły jej uchronić przed nożem mordercy! O czemu ja lepiej nie leżę tam martwy, po co mam żyć dalej na świecie, niepotrzebny nikomu!

Gaston, wzruszony do głębi serca, zbliżył się do niego i ujął jego ręce w gorącym uścisku.

— Kochany panie Lemarche, rzekł łagodnie, — jesteś bardzo potrzebnym wielu ludziom jeszcze. Cóżby się naprzykład miało stać z moim kuzynem Horacym lub wnuczką twoją Giną, gdybyś się tak zupełnie oddał rozpaczy? Tym dwojgu mianowicie jesteś teraz niezbędnie potrzebnym!

— To prawda, dodał Bison, — biedna mała Gina! Cierpi ona okropnie, ale umie panować nad sobą. Nie opuszcza ani na chwilę chorego ojca i nie możemy jej nakłonić do krótkiego chociaż spoczynku. Może byś pan ją namówił do tego! Siły jej nie starczą na długo!

Pan Lemarche kochał wnuczkę serdecznie, to też słowa Bisona zaniepokoiły go na nowo. Ująwszy ramię Gastona wyszedł na kurytarz i zapukał lekko do pokoju zięcia. Po chwili ukazała się na progu młoda dziewczyna i rzuciła się w objęcia starca.

— Dziadziu! — wołała przytłumionym głosem, zalewając się łzami, — drogi, kochany dziadziu, jakże jestem nieszczęśliwą.

Pan Lemarche przycisnął wnuczkę do serca i milcząc, ucałował jej bladą twarzyczkę.

— Papa ciężko chory, szeptało dziewczę dalej, — ratuj go dziadziu! Wszakże ludzie mówią, że ty możesz wszystko, co chcesz!

— Nie trać odwagi, kochanie, odrzekł pan Lemarche, — twój ojciec nie umrze!

Teraz dopiero spostrzegła Gina Gastona i twarz jej wyjaśniła się szczęściem.

— Ach, jak dobrze, że przybyłeś tu, — rzekła oddychając swobodniej.

Potem wprowadziła dziadka i Gastona do pokoju chorego, który leżał zawsze jeszcze nieprzytomny i blady, jak trup. Na widok wchodzących podniosła się Viola, a pan Lemarche wzruszony pochylił się nad nią i pocałował czule złotą jej główkę.

— Jakże się miewa Horacy? — zapytał cicho.

— Doktor Border obawia się bardzo o jego życie, odrzekła. — Ale Bóg nie ześle przecież na nas drugiego takiego nieszczęścia! Byłoby to za wiele!

Potem przywitała brata, który jednak więcej patrzał na Ginę niż na siostrę i zauważyła, że oczy dziewczynki z dziwnym wyrazem wpatrywały się w jej twarz.

— Powinnaś teraz Ginę bardziej jeszcze kochać, niż dotychczas, odezwał się Gaston. — Horacy wyzdrowieje, Gina przecież cierpi najwięcej wskutek tego nieszczęścia!

— Tak, o tak, szepnęła dziewczynka, wybuchając głośnym płaczem. — Mamę zamordowano — cioteczki nie mam już — ojciec śmiertelnie chory — o Boże, Boże!

Gaston zdumiał. Co miały znaczyć te słowa „cioteczki nie mam już?" Ale nie miał czasu do namyślania się nad tem, Gina bowiem płakała tak okropnie, że pan Lemarche wyprowadził ją z pokoju; Gaston poszedł za nimi — i ułożywszy rozpłakaną na kanapie w bibliotece, usiadł obok niej, aby ją pocieszyć i uspokoić. Zwolna też przestała Gina płakać, oczy jej zamknęły się, ale od czasu do czasu otwierała je i przerażona oglądała się w około. W końcu usnęła.

Pan Lemarche patrzał z uczuciem najwyższego zadowolenia na tych dwoje młodziutkich ludzi, przytulonych do siebie i po raz pierwszy od chwili, w której się dowiedział o śmierci córki, stanęły łzy w oczach jego.

— Mój Boże, szepnął rozczulony, pozwól, aby nadzieja ta ziściła się! To jedno tylko mogłoby mnie pocieszyć.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Nazajutrz rano przybyli znowu prokurator i sędzia do zamku. Gdy wrócili wczoraj na wieczór do domu, zatelegrafowali do Paryża z prośbą o przysłanie detektiwa i otrzymali odpowiedź od szefa policyi, że jeden z najzdolniejszych agentów jest już w drodze do Saint-Luc. Oprócz tego wezwali jeszcze architekta rządowego w Amiens, pana Prache, który uchodził za powagę w swym zawodzie, spodziewając się, że

za jego pomocą odkryją jaki tajemny ganek i wejście do pokoju markizy.

Lemarche zgodził się na wszystko i gdy pan Prache przybył około południa, zabrano się natychmiast do pracy, Bison przyniósł z biblioteki dokładny plan zamku, a budowniczy porównywał z rysunkiem starannie każdy kąt i badał mury na zewnątrz i na wewnątrz. Detektiw z Paryża przyjechał teraz także i rozpoczął swoje poszukiwania.

Markiz leżał zawsze jeszcze nieprzytomny. Zdawało się, że nie poznaje nikogo i nie słyszy nic co do niego mówiono, doktor Border zaś twierdził, że tylko spokój i troskliwe pielęgnowanie mogą mu pomódz. Viola i Gina siedziały, nieustannie milcząc, przy jego łóżku.

Nagle uniósł chory lekko głowę i zamknięte dotąd oczy otworzyły się trochę, a gdy obie młode dziewczyny pochyliły się nad nim, ujął ich ręce i złączył je w swych dłoniach.

— Zawsze, zawsze razem, szepnął ledwie dosłyszalnym głosem.

Potem osunął się znowu na poduszki i leżał nieruchomy, jak przedtem.

Gina upadła na kolana.

— Papa umiera, jękła rozpaczliwie, a ostatniem jego życzeniem było, abym cię nigdy nie opuściła.

Zwracając się zaś do ojca, dodała ciszej:

— Nie wiesz jeszcze o wszystkiem, papo, ale ponieważ chcesz tego, przeto będę ci posłuszną!

Viola nie zważała na te słowa. Przestraszona bladością chorego, nacierała czoło jego wodą kolońską, a chcąc go uspokoić, rzekła łagodnie:

— Wiesz, Horacy, że kocham Ginę tak, jak gdyby moją własną córką była. Ile ja już dla niej wycierpiałam tutaj.

Markiz otworzył znowu oczy i uśmiechnął się. Twarz jego wypogodziła się widocznie i straciła dotychczasową trupią bladość. Gina zbliżyła się do Violi i uścisnęła z wdzięcznością jej rękę.

— Nigdy już dla mnie cierpieć nie będziesz, szepnęła. Przyrzekłam to papie, dla którego poświęcasz się tak, jak się dla mnie poświęcałaś. Nigdy nie wyrządzę ci przykrości, chociażbym umrzeć miała!

Dziewczynka mówiła to tak dziwnym tonem, że Viola zdumiona patrzała na nią, jak gdyby nie rozumiała, o co rzeczywiście chodzi. Ale zaraz potem przycisnęła ją do serca i ucałowała serdecznie śliczną jej twarzyczkę.

— Ty, rzekła z uczuciem, nie sprawiłaś mi nigdy przykrości i jestem przekonaną, że pozostaniesz dla mnie zawsze tą samą kochającą Giną. Uspokój się, dziecino, i powiedz sobie, że jeżeli życie nie daje nam samych rozkoszy, to przeświadczenie spełnionych obowiązków wynagradza wszelkie troski!

Gina spuściła głowę i milczała, ale chwila ta, najboleśniejsza może w jej życiu, zamieniła dziewczynkę na myślącą, poważną kobietę.

Gaston przyjeżdżał często, aby odwiedzać chorego i cieszył się, że Viola przynajmniej nie była już tak przygnębioną. Odzyskiwała ona istotnie zwolna dawniejszą energię i odwagę, miała bowiem teraz tę chociaż pewność, że Horacy nie umrze i że wkrótce powróci całkiem do zdrowia.

Lemarche pokazywał się rzadko w pokoju markiza, nie odstępując ani na krok architekta. Brał nadzwyczaj żywy i czynny udział w poszukiwaniach tajnego ganku i wejścia do sypialni zmarłej córki, mierzył mury, porównywał rysunki i nie ominął żadnego kąta. Przedewszystkiem zajmowała ich wschodnia wieża, ale pomimo najusilniejszych badań musiał pan Prache oświadczyć, że o tajnem wejściu nie może tu być mowy. Schody kończyły się z pierwszem piętrem, mury zaś były wszędzie pełne i nie mogły żadnej ukrywać tajemnicy.

— W takim razie musi się ganek znajdować w innej części zamku, dowodził Lemarche. Starzy dawniejsi rycerze miewali nieraz dziwne pod tym względem pomysły. Ale gdzie szukać?

Gdyby zamek był jego własnością, byłby go kazał rozebrać, aby mieć pewność, tak okropnie dręczyło go daremne szukanie i badanie. A jednak uchodził Prache za znawcę! Odnawiał on już kilkanaście starych zamków, tak, że można było ufać jego orzeczeniu, chcąc zaś zadowolić pana Lemarche, sprowadził jeszcze kilku zręcznych i umiejętnych robotników, którzy mieli w wskazanych miejscach rozebrać mury i w razie nieznalezienia ganku, na nowo je postawić.

Ale o ile zagadkowem było popełnienie zbrodni, o tyle równie tajemniczym był powód, dla którego zamordowano markizę, tem więcej, że o kradzież mordercy wcale przecież nie chodziło. Wszystkie kosztowności leżały nietknięte, a pieniądzie w biurku znajdowały się w tej samej ilości, w jakiej markiza je co tydzień otrzymywała. I chociażby nawet uznano samobójstwo, co przez wzgląd na sposób, w jaki cios śmiertelny zadano, było nieprawdopodobnem, ale możliwem, to nawet i wtenczas nie można było znaleźć żadnego do tego powodu. Bo i dlaczego miałaby sobie Laura odbierać sama życie?

Pan Lemarche sądził, że jedynie Viola może mu dać pewne pod tym względem wyjaśnienia, a że znał jej szczerość i prawdomówność, przeto postanowił wprost jej o to zapytać. Viola musiała mu jednak poprzednio przysiądz uroczyście, że nie zatai zgoła nic, i tak więc opowiedziała mu dosłownie wszystko, o czem mówiła po powrocie swym z kościoła, wspominając i o tem, że Laura przyjęła ją tak szorstką wymówką, jak się niestety zwykle zdarzało.

— Zdawało mi się — dodała jeszcze — że po południu była markiza w gorszym humorze i więcej rozdraźnioną, jak rano, ale dlaczego, nie wiem!

— Powiedz mi, drogie dziecię, czy zaszła tego dnia jaka gwałtowna pomiędzy wami sprzeczka?

— Nie, wcale nie! Gina była obecną naszej rozmowie. Laura kazała mi zająć się nakryciem stołu, ponieważ goście mieli być na obiedzie, wyszłam więc zaraz i Gina towarzyszyła mi!

— Jacy goście?

— Doktor Border, proboszcz i Lucyan — dodała niechętnie.

— Lucyan? — powtórzył pan Lemarche niezmiernie zdumiony. — To on był tutaj?

— Tak! Przybył pociągiem o piątej i odjechał na wieczór.

— Ależ ja o tem nie wiedziałem! No, i jakże było... z Laurą?

— Jak zwykle — odrzekła Viola wymijająco.

— Nie, nie — zawołał Lemarche — powiedz mi wszystko! Sprzeczali się znowu?

— Nie wiem doprawdy! Lucyana zobaczyłam dopiero przy obiedzie — siedział obok Laury, ale z mojego oddalonego miejsca nie mogłam dosłyszeć ani jednego słowa z ich rozmowy.

Z dalszego opowiadania Violi podpadło panu Lemarche najwięcej to, że córka jego nie chciała się wieczorem widzieć z mężem.

— Czy zaszło jakie nieporozumienie między niemi? — zapytał.

— Bynajmniej, przy stole najlepsza panowała zgoda! Horacy cieszył się bardzo, że Laura przyrzekła mu jechać z nim przed powrotem do Paryża, na kilka dni do Gaskonii.

Pan Lemarche zamyślił się. Wszystko, co Viola mówiła, było prawdą, o tem nie wątpił ani na chwilę, ale jeżeli Laura, której zazdrosny charakter ogólnie był znanym, nie pogniewała się ani z Violą, ani z mężem, to w takim razie o samobójstwie nie mogło być mowy. Trzeba więc było szukać mordercy!

Myśl pana Lemarche zwracała się zawsze mimowoli do Lucyana, który dnia tego był tu w zamku, nie wspominając mu wcale o tem. Dlaczego przyjechał na kilka godzin tylko? Zapewne chciał pozyskać zezwolenie Laury na objęcie gorąco upragnionego stanowiska zastępcy i pełnomocnika jego! Lemarche wiedział, że Lucyan był przebiegły, obrachowany i ambitny, i w swej żądzy bogactwa do wszystkiego zdolny!

Po długiej więc rozmowie z Violą podziękował jej serdecznie za wyjaśnienia i zapewnił uroczyście, że tak ona jak i Gaston mogą każdej chwili liczyć na niego.

— Idź teraz, drogie dziecię — dodał — do Horacego i Giny. Jesteś ich prawdziwym aniołem opiekuńczym!

Gdy został sam, zaczął znowu rozważać nad tem, co Viola mówiła, Dlaczego zmieszała się, gdy wspomniała o bytności Lucyana w zamku? Nie lubiła go pewnie, i to było zupełnie jasnem, bo jakżeby dwoje ludzi, o tak odmiennych charakterach, mogło z sobą sympatyzować? Ale Lucyan był bratem markiza i jej kuzynem, musiała więc być dla niego uprzejmą, już przez sam wzgląd na blizkie pokrewieństwo!

Nagle przyszło mu na myśl, że nie zapytał jej kto przy obiedzie siedział po drugiej stronie Laury. I już chciał iść

do Violi, gdy mu się przypomniało, że zwykle proboszcz bywał jej sąsiadem. Zadzwonił zaraz na służącego i kazał prosić proboszcza do siebie w razie, jeżeli jest w zamku, albo posłać zaraz po niego powóz, gdyby go już tu nie było.

— Oprócz tego przyślij mi tu zaraz Paulinę — rzekł żywo.

Gdy Paulina weszła, zapytał jej natychmiast:

— Kiedy czytała moja córka listy, jakie jej przysyłano?

— Codziennie rano, podczas kiedy ją czesałam.

— A tego dnia... także?

— Tak, przypominam to sobie bardzo dobrze, bo pani markiza otrzymała od modniarki list, z którego się bardzo ucieszyła. Chodziło o nowy kapelusz. Pani markiza mówiła to sama do mnie.

— Czy to był jedyny tylko list, jaki tego dnia otrzymała?

— O nie, znajdowało się tam jeszcze kilka zaproszeń, na które nie zważała, ale jeden list musiał panią bardzo rozgniewać, bo zmięła go w ręku po przeczytaniu.

— I co zrobiła z nim? — pytał Lemarche bez tchu nieomal.

Paulina namyślała się przez chwilę.

— Ah, wiem już — zawołała teraz — trzymałam właśnie gorące żelazko do palenia włosów, więc pani markiza nie mogła się ruszyć. Wsunęła list do kieszeni szlafroka, zamiast rzucić go w ogień na kominek, jak to widocznie uczynić zamierzała!

— List ten zatem powinien znajdować się jeszcze w kieszeni!

— Naturalnie! Pani ubierała się tego dnia bardzo długo, wątpię zaś, czy potem jeszcze myślała o liście.

— Gdzie jest szlafrok?

— W garderobie.

— W takim razie idźmy tam zaraz!

W garderobie stało wdłuż ścian kilka ogromnych szaf. Paulina otworzyła jednę z nich i wyjęła wytworny szlafrok z żółtego jedwabiu, oszywany kosztownemi koronkami. Drżącemi rękami poszukał pan Lemarche kieszeni, i wydobył z niej zwiniętą ćwiartkę papieru. Wzruszony, pobiegł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz i rozłożył list...

Na pierwszy rzut oka poznał pismo Lucyana...

Gdy się trochę uspokoił, przeczytał następujące słowa:

„Kochana Lauro!

„Dziś na wieczór przyjdę do Saint-Luc, aby cię raz jeszcze osobiście prosić. Przyszłość moja w twoich leży rękach! Nie pożałujesz nigdy okazanego mi zaufania, a ja będę ci wdzięcznym aż do końca życia.

Zaklinam cię na wszystko w świecie, wypełnij moją prośbę! Ty nie wiesz, do czego rozpacz popchnąć mnie może, znam jednak twoje dobre serce i mam nadzieję, że nie będziesz się dłużej opierać moim błaganiom. Więc do widzenia, droga Lauro!

Twój szwagier Lucyan!“

Ach, to był okropny list! Pomimo wyrażonej w nim kilkakrotnie prośby, można było z każdego słowa wyczytać ukrytą groźbę. — Ty nie wiesz, do czego rozpacz popchnąć mnie może! — Lucyan musiał być, pisząc to, niezmiernie rozdraźnionym, tak, że stracił zupełnie panowanie nad sobą!

Ale teraz chodziło o to, jaką odpowiedź dała Laura na ów list, i jak Lucyan odpowiedź tę przyjął? Na pierwsze pytanie mogła jedna tylko osoba odpowiedzieć, a ta właśnie nie żyła, ale z drugiem pytaniem stała rzecz inaczej. Może być, że albo Laura, albo Lucyan rozmawiali o tem przy stole i że ktoś z obecnych słyszał ich rozmowę. Trzeba to było koniecznie zbadać i wyjaśnić!

W tejże chwili zapukano do drzwi. Lemarche schował szybko list, otworzył drzwi, i z okrzykiem radości powitał proboszcza, który z zdziwieniem spojrzał na wypogodzoną twarz i zwykłą energią błyszczące oczy starego fabrykanta. Lemarche zaczął natychmiast wypytywać przybyłego o wszelkie szczegóły ostatniego obiadu.

— Tak jest, — rzekł proboszcz, — siedziałem obok markizy, po której drugiej stronie siedział hrabia Lucyan.

— Czy Laura rozmawiała z nim?

— O tak, dosyć nawet dużo, ale co on mówił, tego słyszeć nie mogłem. Przyznam otwarcie, że nie bardzo też na to zważałem, ponieważ głównie zajmowałem się panną Violą, która tego wieczora niezmiernie była przygnębioną. Chciałem ją trochę rozweselić. — Pan Lemarche wiedział już o tem.

— Ale, — rzekł po chwili, — musiałeś ksiądz proboszcz przecież raz po raz jakieś usłyszeć słowo z ich rozmowy. Jest to dla mnie tak niezmiernie ważnem!

— No, — odpowiedział proboszcz po krótkim namyśle, — zdawało mi się rzeczywiście, że hrabia Lucyan prosił o coś markizy, bo dwa razy zawołał trochę głośniej: „Lauro, błagam cię, nie odmawiaj mi!“

— I co na to odrzekła moja córka?

— Pierwszym razem poruszyła tylko głową w milczeniu, ale potem słyszałem wyraźnie te słowa: „nie męcz mnie dłużej, wiesz, że nigdy na to nie przystanę.“

— A Lucyan?

Biedny proboszcz zawahał się, ale zaraz potem odrzekł śmiało:

— Lucyan szepnął: — strzeż się, strzeż się, Lauro! — Nie mogę jednak przysiądz na to, — dodał szybko, widząc, jak okropne wrażenie słowa jego wywarły na panu Lemarche. — Że zaś markiza w tejże chwili pochyliła głowę, aby odpowiedzieć na jakieś pytanie męża, przeto mogłem się rzeczywiście przesłyszeć.

— Więc twarzy jego nie widział proboszcz?

— Nie.

— Rozmawiała z nim Laura po obiedzie też jeszcze?

— Gdy roznoszono kawę, stali oboje przy kominku. Lucyan mówił coś bardzo żywo, ale markiza milczała i zdawała się wcale na niego nie zważać!

— Więc teraz mógł proboszcz widzieć jego twarz!

Ksiądz spuścił głowę.

— Jesteś duchownym i człowiekiem uczciwym, — zawołał pan Lemarche błagalnie, — powiedz mi więc prawdę!

— Zauważyłem istotnie, — szepnął proboszcz drżącym głosem, — że oczy hrabiego błyszczały złowrogo. Musiał on być strasznie rozdraźniony. Jeżeli mnie pan pytasz na moje sumienie, to inaczej odpowiedzieć nie mogę!

Ale na tem kończyło się wszystko, bo proboszcz rozmowy ich nie słyszał i wkrótce potem towarzystwo rozeszło się. Panu Lemarche wystarczało też zupełnie to, o czem się teraz dowiedział.

— Dziękuję, — rzekł, ściskając serdecznie rękę proboszcza, — proszę tylko nikomu nie wspominać o tem, o czem teraz rozmawialiśmy tutaj!

— Może pan o to zupełnie być spokojnym.

Gdy Lemarche został sam, rozważał starannie, czy na mocy opowiadania księdza możnaby rozjaśnić nieco straszną tę zagadkę, ale zanimby powziął jakie stanowcze zamiary, postanowił zobaczyć najpierw, czy prokurator nie wyśledził czegoś pewniejszego, lub czy pan Prache nie zrobił jakiego odkrycia.

Prokurator i sędzia śledczy nie tracili czasu, postępując ściśle podług z góry zapowiedzianego planu. Jak Lemarche tak i sędzia, który Horacego i Lucyana znał od młodych lat, powziął podejrzenie, że Lucyan stoi w styczności z morderstwem popełnionem na nieszczęśliwej markizie. A podczas kiedy przybyły z Paryża doktor i komisarz policyi badali zamek i bliższą jego okolicę, zwrócił sędzia uwagę na zupełnie inny punkt. Jemu chodziło przedewszystkiem o to, czy Lucyan, wyjeżdżając do Paryża wieczorem pociągiem, nie wysiadł w Amiens lub na innej jakiej stacyi, z której mógł był potajemnie wrócić do zamku. Sekcya wykazała, że Laura została zamordowaną sześć lub siedem godzin po obiedzie. Pociąg, którym Lucyan odjechał, i który o wpół do dwunastej stawał w Paryżu, zatrzymał się pierwszy raz w Amiens. Tam mógł on wysiąść i wrócić następnym pociągiem do Alville, gdzie stawał o wpół do jedenastej, ale Lucyan mógł wynająć w Amiens powóz, albo też, nie chcąc wzbudzić podejrzenia, iść pieszo do zamku, co dla człowieka młodego i silnego żadną nie było trudnością. —

Wszystko to rozważył sobie dokładnie sędzia, a gdy się rozmówił z prokuratorem, pojechał do Amiens, aby tamże badać i śledzić, kto w nocy z dnia 1 na 2 listopada jechał do Alville. Równocześnie polecił komisarzowi policyi zapytać wszystkich dorożkarzy, czy który z nich był wynajętym do Saint-Luc. Ale wszelkie badania żadnego nie odniosły skutku. Urzędnik kolejowy dowiódł, że tej nocy nikt biletu do Alville nie kupował, a z dorożkarzy żaden po za granice miasta nie wyjeżdżał. Ani Gerin, ani agent paryzki nie byli szczęśliwszymi w swych poszukiwaniach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na puszczy.

Z angielskiego skreślił dla „Pracy“ Dr. W. Z.

(Przedruk wzbroniony).

(Ciąg dalszy.)

Przed aresztowaniem ojca najmilszemi chwilami w życiu Palmy były w towarzystwie ojca dalekie wycieczki w głąb puszczy czyli Brughiery. Tutaj Leljusz w cieniu rozłożystego drzewa lub zwieszającej się skały lubił czytywać dzieła mistrzów wyznawanej przez siebie szkoły — tutaj najchętniej zajmował się spisywaniem szkiców do mów mających być wygłoszonemi; wrażliwa natura dziecka całem sercem pokochała te szerokie okiem nie objęte obszary kwiecia.

Siedząc przy ojcu z zajęciem patrzała na przemykającego się od czasu do czasu zająca, na bujających w lazurowych przestrzeniach jastrzębia i skowronka, śledziła lot niezliczonych pszczół — to byli jej dobrzy znajomi, jej przyjaciele najlepsi.

Aresztowanie Leljusza położyło kres tym wycieczkom. Matka bowiem po za ulicami miejskiemi nie znajdująca żadnej przyjemności, nie pozwalała samej Palmie zapuszczać się w puszczę obawiając się możliwego zbłąkania w bezdrożnej Brughierze.

Dziecko tęskniło za puszczą. — Tak było przyzwyczajonem do cichości i wolności tamże ją otaczającej — do tych obszarów tak poważnych swem milczeniem a przecież jej sercu tak miłych i drogich.

Matka rankiem i wieczorem zabierała ją do małego kościoła św. Piotra, ażeby pomodlić się o powrót więźnia — lecz małej Palmie zdawało się, że tam w Brughierze mogłaby się o wiele serdeczniej pomodlić za ukochanego ojca, — że modlitwa ztamtąd prędzej przed tron Stwórcy by się przedostała — bo tam powietrze tak jasne, tak słoneczne, tak czyste i wonne.

Pewnego dnia poprosiła swego ojca chrzestnego, by z nią poszedł w głąb kwiecistej Brughiery, lecz jej odmówił.

— Matka twoja tego sobie nie życzy, nie trzeba jej smutku przysparzać. — A gdy Palma następnie o ojcu mówić zaczęła, stary ochotnik dodał: — Wielu się dziwi potem, że podobne postępowanie władzy ludzi przerabia w morderców. Czyż po to, ażeby nas dzisiaj kneblowano, walczyliśmy przez pięć dni dzień po dniu? Czy dlatego przemawiał Garibaldi do piątego pułku ochotników tam z balkonu przy Via Arnella?

Palma znała doskonale dzieje owych krwawych zapasów włoskiego ludu — jej dziad i dwóch jego synów w „66“ legli od kul austryackich na polu bitwy a nikt nawet nie wiedział gdzie ich groby się znajdują.

Swemi wielkiemi, pełnemi smutku oczami spoglądała z nietajoną nienawiścią i pogardą na ludzi ubranych w mundury kwestury, zjawiających się od czasu do czasu w ich domu celem przetrząśnięcia nie wiedzieć po który raz ich szaf i schowań domowych a konfiskujących wszelkie nadchodzące listy. Brygadyer na widok dziecka mruczał pod nosem:

— Byłoby najlepiej to psie plemię powiesić od razu.

Na szczęście do tego czasu nie wydano jeszcze rozkazu mordowania dzieci — chociaż w ciasnym umyśle brygadyera nie mogło się pomieścić, dlaczego, jeżeli wolno wyniszczyć gniazdo żmiji, nie miałoby być także dozwolonem i potomstwo mniemanego antimonarchisty i socyalisty wygubić do szczętu.

Pewnego dnia przez dzienniki doszła wiadomość do Gallaraty, że Leljuszowi Dolabelli udało się umknąć z kaźni medyolańskiej, w której od miesięcy napróżno wyczekiwał wyroku trybunału a gdzie go dręczono śledztwem i przesłuchiwaniem bez końca.

Małej Palmie zdawało się, że sam anioł z nieba przyniósł im tę pocieszającą wiadomość. Milczała, lecz przy spotkaniu żandarmów twarzyczka jej jaśniała zawsze takim wyrazem promiennej radości, że ludzie ci mówili sobie: „ta mała bestya wie gdzie ojciec jej się znajduje.“

Lecz ani Palma, ani jej matka nic nie wiedziały o Leljuszu i tylko w ciszy nocnej szeptem rozmawiały o nim, obiedwie przekonane, że jeżeli rzeczywiście wolność odzyskał, natenczas go zobaczą, bo się odważy na wszystko, byle ich uściskac i pożegnać, zanim pewniejszego schronienia dla siebie nie wyszuka.

Palma zaś pomyślała: jeżeli jest wolnym, znajduje się w Brughierze — bo czyż nie były mu znane schronienia, jakie puszcza w całej pełni dostarczyć mu może? Czyż oboje nie badali podziemnych korytarzy i sklepień pozostałych do dziś dnia po dawno zanikłych twierdzach lub ludziach? Tam dotąd nie przedrze się najbystrzejsze oko żandarma — tam dnie i tygodnie ukrywać się można.

Znała szczególniej jedno miejsce, które w towarzystwie ojca była odkryła — było to sklepienie pod skałą zupełnie zakryte bujnemi krzakami, po którego ścianach wspinały się gęste zwoje dzikiego powoju i wina.

Jeżeli jest w Brughierze, to tam się ukrywa z pewnością. Myśl, iż mógł się przedostać tak daleko, bez ponownego pochwycenia, nie postała w jej głowie — w jej przekonaniu ojciec cuda mógł stworzyć. Przekonanie, że ukrywa się w Brughierze, rosło coraz silniej z dniem każdym w Palmie. Zdawało jej się, że jest zamkniętym ptakiem w klatce, nie mogącym polecieć do ukochanej istoty, ukrywającej się w samotnej puszczy.

Pewnej nocy matka cała drżąca, pełna radości, lecz i obawy, zbudziła Palmę, oznajmiając jej, że rzeczywiście ojciec znajduje się w pobliżu i że ukrywa się w puszczy, lecz że ma zamiar w przebraniu przybyć do nich, by się pożegnać zanim się znajdzie hen! daleko po za Alpami.

Palma nie okazała żadnego zdziwienia.

— Palmo! dziecko moje — mówiła Sylwia. — Idalico był tutaj i powiedział, że ojciec jest w Brughierze.

— A! byłam tego pewna — odrzekła Palma z jaśniejącą radością twarzyczką — że prędzej, czy później go zobaczymy.

Idalico, był to chłop osiadły jako dzierżawca farmy należącej do Dolabellów, położonej o mil kilka na skraju puszczy. Z powierzchowności surowy i nieokrzesany człowiek, lecz pełen serca i przywiązania do rodziny właścicieli.

— Lecz pod żadnym warunkiem nie można pozwolić na przybycie ojca do Gallaraty. Rozumiesz mnie dziecko? Dom nasz jest pod strażą dniem i nocą. Pochwycono by go jak ptaka w gnieździe.

Biedna kobieta wsparła głowę na ręku zanosząc się od głośnego płaczu.

Radość przed chwilą odczuwana znikła nagle z oblicza Palmy. Tak, on nie może tu się pojawić. Dom ten nie jest już jego domem, lecz raczej smutnem do więzienia podobnem miejscem, do którego policya wchodziła i wychodziła wedle upodobania — a z którego radość i wesele znikły na zawsze.

— Ktoś musi go ostrzedz, ażeby się nie narażał — odezwała się Palma. — Czyby Idalico nie chciał się tego podjąć?

— Nie — odrzekła Sylwia głosem przez łzy stłumionym — stary tchórz mówił, że przyniósł wiadomość ze względu na ojca i na nas — lecz to już wystarczyło, by go tak przerazić, że wcale nawet nie wrócił do domu, lecz udał się do Olmo, do swego brata rybaka. Ojciec swem nagłem ukazaniem się w nocy w jego domu, tak go przestraszył, że Idalico ledwie nie umarł ze strachu.

— Cóż ojciec mu powiedział?

— Nic więcej jak tylko — idź i powiedz mej żonie i córce, że tu się ukrywam, lecz że w ciągu przyszłej nocy przybędę do nich przebrany, by ich pożegnać raz ostatni, zanim nas Alpy rozdzielą.

— Zanim nas Alpy rozdzielą?

— Tak dziecko moje! Jestto jedyny sposób uratowania się od ponownego uwięzienia, które rychlej czy później nastąpić by musiało, gdyby tej okolicy nie opuścił.

— Rozumiem — odrzekła Palma a na twarzy jej naznaczonej przedwczesnem cierpieniem, pojawił się wyraz powagi i jakiegoś niezłomnego postanowienia.

W ogrodzie woda ze źródła ciekąca szumiała po cichu, tykanie zegara przerywało głęboką nocną ciszę — matka i córka nasłuchiwały, czy nie usłyszą nagle zbliżających się, znanych im kroków.

Naraz Palma usiadła w łóżeczku z oczami szeroko rozartemwi, z których ból i zacięty upór wyglądały.

— Matko, pozwól mi iść — szepnęła nakoniec.

— Dokąd? do Brughiery?...

, Biedna matka zaniosła się na nowo od płaczu i głośno zaczęła się modlić do Madonny o pomoc i wsparcie.

— Cicho, matko! ludzie w ulicy usłyszą cię — mówiła Palma — tak, ja chcę iść do ojca. Puszczę znam tak samo dobrze, jak ty znasz twoją ławkę w kościele. Ojciec ukrywa się w znanem mi sklepieniu, tego jestem pewną.

Całą tę noc ani matka, ani córka nie zmrużyły na chwilę oka, nasłuchując, czy stukanie do okiennicy, lub cichy krok na piaskiem wysypanych ścieżkach ogrodu się nie odezwie. Cicho jednakże było wszędzie. Woda tylko szumiała jak zawsze — świerszcz ćwierkał w zaroślach, a od godziny do godziny dzwony zegarów miejskich słyszeć się dawały.

Palmy oczy z niecierpliwością śledziły matkę, chylącą się pod brzemieniem bólu i troski, sama była bladą, lecz wyraz upartego postanowienia nie schodził z jej twarzy. O czwartej rano była już gotową do drogi.

Ubrała się w spódniczkę i żakiecik domowej roboty, opasała się jaskrawą zapaską, na głowę zarzuciła szeroką, żółtą chustkę, tak iż ubiorem nie różniła się od okolicznych wiejskich dzieci. Na nogi nasunęła drewniane trzewiki, nie zapominając o zabraniu butelki wina i sporego kawała chleba.

Z odcieniem pewnego zniecierpliwienia wyrwała się z objęć ściskającej ją łzami zalanej matki i z licem zroszonem, lecz nie własnemi łzami, wyszła wreszcie przez drzwiczki ogrodu na ulicę.

Tutaj uczuła się naraz szczęśliwą, jak gołębica wypuszczona z klatki — a tak śmiałą, że żadne trudności jej nie przeszkadzały. Wszakże szła odnaleźć ukochanego ojca wśród ukochanej puszczy i ukochanego przez nią kwiecia i ptastwa!

Zmrok poprzedzający jutrzenkę panował jeszcze wokoło. Ani w ulicy, ani na placu nie spotkała nikogo, nie zatrzymana zatem, ani pytana doszła do ostatniej miejskiej bariery i zaraz skierowała swe kroki ku znanej jej dobrze drożynie, wiodącej do Brughiery. Od czasu do czasu spotykała wieśniacze wozy, obładowane jarzynami, lub mlekiem — lecz nikt nie zwracał uwagi na dziecko w żółtej chustce, samotnie drogą idące.

Jutrzenka zajaśniała na niebie, gdy się znalazła już w czystem polu po za obrębem miasta — a słońce wschodzić zaczęło, gdy do pierwszych krzaków Brughiery się zbliżyła. Dziecko uklękło wtenczas na zroszonej ziemi, odmówiło pobożnie pacierz i ucałowało krzaczek kosodrzewiny od tak dawna niewidzianej.

Po kilku chwilach posuwania się naprzód, oczy Palmy nie widziały już nic więcej, jak bezbrzeżną przestrzeń, mieniącą się barwami zieloną, czerwoną, białą i różową w blaskach dopiero co ponad widnokrąg wychylającego się słońca. Było to morze zieleni i różnobarwnego kwiecia, tak samo jak ono ruchliwe, czarujące i wspaniałe, a ograniczone jedynie z jednej strony gdzieś tam daleko widniejącemi szczytami alpejskiemi. Każdy podmuch wiatru przynosił Palmie upajającą woń kwiatów — powietrze rozbrzmiewało szumem i brzęczeniem skrzydeł niezliczonych pszczół, gdzieś tam w górze pod obłokami kołysał się jastrząb czatując na zdobycz.

Rozrzewnienie ogarnęło Palmę — odczuła jakąś niewymowną radość w sercu — łzy, z których ani jednej nie uroniła przy pożegnaniu się z rozbolałą matką, teraz gwałtem do oczu się cisnąc, ściekały po jej bezsennością zmęczonej twarzy. I znowu przystanęła przy krzaku okrytym świecącemi kroplami rosy, całowała listki i cienkie gałązki, bo krzaki te były jej dobrymi znajomymi, lepszą przeszłość przywodzącymi na pamięć — one stanowiły teraz bezpieczne ukrycie dla jej ukochanego ojca. Wspomnienie o ojcu podnieciło ją do dalszej drogi. Starała się odszukać ścieżynę prowadzącą do znanego jej sklepienia, a przytem i unikać widoku, w jej mniemaniu groźnych dla niej samej i dla ojca, ludzi. Nie była to wszakże ani pora polowań, ani też wycinania i zwózki krzaków, obawy zatem zetknięcia się z kimkolwiek nie było, a chyba ze starą jaką kobietą zbierającą grzyby spotkać się mogła.

Dotychczas nigdy sama jedna w Brughierze nie była. Dawniej ojciec był zawsze stałym jej towarzyszem, znającym każdą ścieżkę i przesmyk od wczesnych lat chłopięcych. W tej puszczy, tak samo bezdrożnej jak afrykańskie pustynie, pamięć jedynie mogła być jej przewodnikiem. Bywając tutaj z ojcem bezmyślnie biegała za nim — w jej dziecinnej wyobraźni zdawało się, że z łatwością odnajdzie schronienie ojca — chociaż co prawda w tej chwili niewiedziała, czy owo schronienie ku północy, południowi, zachodowi lub wschodowi jest położonem. Gdzieś daleko widziała tylko wznoszącą się ponad poziom wieżycę — przypominała sobie, iż chodząc z ojcem, wieżyca ta pozostawała zawsze po lewej ich stronie. Skierowała zatem swe kroki więcej na prawo, zwalczając siłą duszy zwiększające się osłabienie przy przeciskaniu się miejscami przez bardzo gęsto rosnące krzaki. Poczucie ogromu przedsięwziętego zadania teraz dopiero stało jej się świadomem. O ile sobie przypomnieć mogła, sklepiona skała była po prawej stronie wieży i w prostej linii od niej — lecz więcej nic nie wiedziała.

Gdyby tak przynajmniej psa miała ze sobą — onby może lepiej sobie drogę przypomniał — lecz stary, poczciwy Morino towarzyszący im zawsze w tych wycieczkach, zdechł w tym samym miesiącu, w którym jej ojca aresztowano. Bezmierna przestrzeń, cichość, mieniące się barwy, odurzający zapach napełniały ją jakąś nieokreśloną, umysł przygniatającą obawą.

Pomimo tego wszystkiego szła i szła naprzód, aż dopóki zbolałe i zmęczone wysiłkiem nogi chwiać się nie zaczęły pod nią. Krzaki w niektórych miejscach rosły gęsto — od odchylania gałęzi, by się przez nie przedzierać ręce miała podrapane i obrzmiałe. Słońce rzucające o tej porze dnia promienie prostopadle, piec ją zaczynało w głowę a pomimo, że żółtą chustkę zrzuciła, ból głowy dokuczać jej zaczął. Siedzącej dziś nocą w białem, wygodnem łóżeczku zdawało się, że to tak łatwo odnaleźć ścieżkę dobrze jej znaną — lecz bujna roślinność zatarła ślad niejeden w Brughierze a rzeczywistość w zupełnie innej formie przed oczami jej stanęła. Wyczerpanie sił zmusiło ją wreszcie do spoczynku — odłamała i zjadła kawałek chleba — lecz nie naruszyła wina — boć to przecież dla *Niego* je niosła. W pobliżu ciekł na pół wyschły strumyczek — tam zaczerpnęła ręką wody, by ugasić palące pragnienie. Pokrzepiona cokolwiek, zaczęła się znowu wsłuchiwać w brzęczenie pszczół a wreszcie powstała, by się rozejrzeć wokoło. Dachy miejskich domów dawno już znikły za krzakami — ku północy, gdzieś daleko jaśniała linia śniegiem pokrytych szczytów alpejskich, a zresztą nic, nic, jak tylko cicha, bezbrzeżna puszcza, kwiaty i krzaki.

W tej chwili przypomniała też sobie opowiadanie matki o pewnym chłopczyku, który tak samo jak ona zapuścił się był w Brughierę; a którego martwe ciałko po sześciu dniach dopiero odnaleziono. Ślady dowodziły, że zbłąkany ciągle w kółko chodził, nie mogąc drogi do domu odnaleźć.

Ją powstrzymywało poczucie wielkiego poświęcenia dla ukochanego ojca. Toż on nie ma nikogo oprócz mnie, swego drogiego dziewczątka — pomyślała — lecz gdzież jest w tej chwili ten ukochany ojciec?

Jastrząb bujający wysoko w powietrzu musiał to wiedzieć — bo on tam z góry widzi wszystko — lecz on nie spuści się, by ją oświecić.

Zobaczyła w krzaku śpiącą sowę, siedzącą na tak samo, jak ona szarej gałęzi. Wyciągnęła rękę i dotknęła śpiącego ptaka.

— Luba sowo, powiedz mi, gdzie mam drogę do *Niego* odnaleźć — ty musisz ją znać, bo ty i w ciemości widzisz.

Lecz przestraszona i rozgniewana sowa, że ją w jasny dzień ktoś zbudził, zgrzytnęła tylko dziobem i nie powiedziawszy nic, przeleciała na inny krzak, chowając się w głąb gąszczu, by dalej śnić o swych nocnych zdobyczach i łowach.

Palma dalej ruszyła, lecz już bez wyraźnego celu — wieżę straciła z oczu — szła dalej i dalej, skupiając z wysileniem resztki znikającej woli — potykając się często o sterczące korzenie krzewów. Raz nawet potrąciła nogą uśpioną żmiję — gad syknął — lecz szczęściem nie ukąsił. Coraz więcej odczuwało biedne dziecko, iż tak jak teraz iść może godziny i dnie całe — lecz do upragnionego celu nie trafi. A tymczasem zanim ojca odszuka, on ruszy do miasta tejże samej nocy nieostrzeżony i wpadnie w ręce czyhającej nań policyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obława
na
Dra Rakowskiego.

Dzielny pracownik na niwie narodowej, utalentowany literat, niegdyś naczelny redaktor „Pracy“ a dotąd jeszcze stały jej współpracownik, znajduje się od wtorku za kratami pruskiego więzienia. Oto smutna wiadomość, jaką dziś podzielić się wypada z naszymi czytelnikami, którzy porówno z nami nauczyli się cenić wysoko to, co z pośród młodych szermierzy występujących w obronie narodowości naszej chlubnie więźnia wyróżnia, a to: myśl jego jasną, działalność energiczną, żadnemi trudami, żadnemi przeciwnościami nieustraszoną, a cel dobry i wyraźnie zarysowany.

Dwie szczególnie sprawy nasze, bardzo pilne a bardzo trudne, zaprzątały od dość dawna ustawicznie czynny i rzutki umysł Dra Rakowskiego, tj. sprawa wychodźców polskich, w głębi Niemiec na zniemczenie narażonych, i sprawa górnośląska, wymagająca ostatecznego pod względem narodowo-polskim wyświecenia.

Nie myli się zapewne ten, kto sądzi, iż właśnie te dwa kierunki pracy p. Dra Rakowskiego spowodowały nadzwyczajną policyjną czujność i pragnienie, niezaspokojone poprzednio, ażeby pochwycić go i uwięzić, skoroby tylko teraz, w dwa lata po wydaleniu z gościnnych granic państwa, ośmielił się pokazać na jego terytoryum. Okazya ta nadarzyła się — w ubiegły wtorek, w chwili, gdy p. Dr. Rakowski zamierzał po krótkim we Wrocławiu pobycie ruszyć ztamtąd do Berlina, ażeby tam zasięgnąć lekarskiej porady u jednego ze znakomitszych profesorów uniwersyteckich.

Fakt aresztowania, jakkolwiek zgodny z całym dobrze znanym antypolskim systematem, systematem, w którym się przejawia nienasycona nigdy nienawiść Prusaków do wszystkiego, co polskie — niezwykle silnie poruszył naszą opinią, a każdy pyta: „za co go właściwie uwięziono,“ „na mocy jakiego prawa,“ „co chcą mu zrobić,“ „co pragną osięgnąć?“

Na wszystkie te pytania trudno odpowiedzieć, albowiem wątki wyjaśnienia gubią się gdzieś w labiryncie wrogiej polskiemu żywiołowi i całej słowiańszczyźnie machinacyi.

„Za co?“ Tak „za co“ — i my pytamy, wiedząc najlepiej, że to nie zbrodniarz żaden ów przybysz z Krakowa, którego w hotelu „Pod białym orłem“ we Wrocławiu aresztowano, że nie buntownik, nie anarchista żaden, którego kilkogodzinny lub nawet kilkodniowy pobyt w Prusiech mógłby zagrozić publicznemu porządkowi — ale zagraniczny obywatel, spokojny, charakteru nieskazitelnego, poświęcający siły swe dla duchowego podniesienia i uszlachetnienia społeczeństwa, które go wydało. „Za co?“ pytamy raz jeszcze. Czy za to, że tygodnik nasz zasilał pracami swego pióra? Czy za to, że jako Polak — choć z innego zaboru — interesował się żywo sprawami prześladowanych w Niemczech rodaków swoich? Czy za to, że śmiał przestąpić austryacko-pruską granicę?

Jeśli w tych powodach wyszukano uzasadnienia aresztu na osobę p. Dra Rakowskiego, to zapytać należy, jakieby to były banicye i aresztу, gdyby Niemców przebywających w Rosyi i Austryi tak samo chciano traktować? Więzień niestarczyłoby zapewne w Austryi, gdyby chciano pojmać wszystkich „Alldeutscherów“ rozszalałych, którzy przekraczają granicę austryacką, ażeby czynić to, czego w Prusiech p. Dr. Rakowski ani myślał się dopuszczać, — ażeby oto buntować Niemców austryackich do rozsadzenia monarchii habsburskiej. A jakżeby to zaludniło się w rosyjskich kaźniach, gdyby chciano z widowni pouprzątać niemieckich przybłędów, wrogo przejętych ideą przeciwko całej słowiańszczyźnie?

Nie mniej trudno wyjaśnić zagadkę: na mocy jakiego prawa uwięziono p. Dra Rakowskiego za to, że się zjawił na pruskiem terytoryum bez zamiaru dłuższego pobytu wśród „miłych“ Prusaków? Czy może na mocy prawa prasowego za artykuły pisane dla „Pracy“? Ależ jakie? Jakie artykuły karygodne *narzucał*, do jakich redakcyą *zniewalał?* A gdyby tak podług tego trybu spodobało się Rosyi aresztować przybywających na jej terytoryum redaktorów pism niemieckich, rozpisujących się częstokroć z taką nienawiścią nie tylko o rządzie, ale i całym narodzie rosyjskim, jako barbarzyńskim! Wszakże ci barbarzyńcy w zachowaniu się względem obcokrajowych przybyszów o całe niebo wyższymi, gościnniejszymi i szlachetniejszymi się okazują, niż „arcyucywilizowani“ pruscy sąsiedzi!

Na trzecie pytanie: „co mu zrobią?“ Każdy rozumnie i logicznie myślący odpowie chyba, że dopełniając „pruskiej gościnności“ odstawić tylko mogą więźnia do granicy i powiedzieć, żeby na przyszłość Prusaków unikał. Nie znamy dokładnie nastroju duszy dzielnego więźnia, ale domyśleć się nie trudno, że do unikania Prusaków, jak żadnemu Polakowi, tak też i jemu szczególniej zachęty zapewne nie potrzeba! Nie przypuszczamy zaś, iżby na czułe pożegnanie się z Prusakami zbyt długo kazano mu czekać za kratami i należącą się wolność mu przywrócą niebawem. Ale w Prusiech dzieją się rzeczy, których siłą logiki nikt przeniknąć nie zdoła!...

Najłatwiej stosunkowo odpowiedzieć na ostatnie pytanie, mianowicie: „co pragną osięgnąć.“ Oto pragną tego, za czem — jak za ognikiem błędnym — goni cała antypolska polityka wśród wrzasków i nawoływań hakatystycznej sfory. Pragną złamać i zatrzeć żywioł polski, gdziekolwiek narodowego życia znaki daje, pragną stłumić ducha polskiego, gdziekolwiek się budzi i do nowego życia wskrzesza. Pan Dr. Rakowski — podług wyobrażeń wrogów narodowości naszej — nietylko żywo się interesował ruchem wśród wychodźców polskich w Niemczech i wśród Górnoślązaków, lecz usiłował też jako Polak do narodowej oświaty się przyczyniać. Tacy ludzie równają się zbrodniarzom, ta-

kich, gdy na terytoryum pruskie wstąpić się ośmielają, aresztuje się i wiedzie do śledztwa karnego! Tak to się robi dla wzmocnienia niemczyzny a osłabienia ducha polskiego! A osięga się co? Oto, że niemczyzna na sile duchowej i moralnej niczego nie zyska, a duch polski wychodźców naszych i Górnoślązaków doznaje nowego bodźca, nowej nabiera siły odpornej. Im więcej więzień, tym wolniejszy będzie duch polski, tym wolniejszy od pruskich sympatyi i czczych ułud!

To zaś pewne, że sprawa górnośląska nie cofnie się w posuniętej fazie swego rozwoju i w żadnej kaźni zamknąć, żadnemi pętami skrępować się nie da! *Vester.*

W uzupełnieniu powyższych danych, dotyczących aresztowania Dr. Rakowskiego, nie możemy pominąć zaznaczenia faktu, że poprzednio tj. w piątkowym numerze ,,Orędownika" ukazała się notatka, w której ,,Orędownik" bez wszelkich skrupułów publicznie zwraca uwagę na Dr. Rakowskiego i wydawcę ,,Pracy," p. Biedermanna, jako na *tajnych* działaczy w sprawie górnośląskiej. Uwaga ta ,,Orędownikowa" nie uszła oczom tutejszej policyi.

Już bowiem tego samego dnia w nocy otoczono gmach wydawnictwa „Pracy" i odtąd śledzono naszego wydawcę na każdym kroku aż do chwili aresztowania Dra Rakowskiego...

„Orędownik" może tryumfować, notatki ,,Orędownikowe" bowiem nie giną bez echa, lecz znajdują one coraz żywszy poczyt — w gmachu tutejszej policyi...

O przebiegu aresztowania p. dr. K. Rakowskiego

podajemy za „Kuryerem Poznańskim", który najwierniejszy i najbardziej szczegółowy poświęcił opis zagadkowej sprawie, co następuje:

Aresztowanie dr. Rakowskiego.

Znaną jest w całej Polsce działalność pana Kazimierza Rakowskiego, współpracownika „Pracy". Obdarzony wybitnym talentem pisarskim, zasilał p. R. pismo to wielkopolskie, reprezentujące w prasie poznańskiej najostrzejszy ton w sprawach narodowych, i rozchodzące się w bardzo wielkiej ilości egzemplarzy, swemi artykułami. W sferach rządowych pruskich popadł wskutek tego w podejrzenie, jakoby był autorem znanych artykułów, podpisywanych pseudonimem „Vestera". Jest on najwybitniejszym pracownikiem na polu rozwoju życia narodowego polskiego na Górnym Śląsku i na wychodźtwie i stoi pod sztandarem obrony całej Słowiańszczyzny przed naporem germanizmu. Wydalony po za granice Prus, pozostał duszą z swymi przyjaciołmi politycznymi w Wielkopolsce. Aresztowanie jego jest wielką klęską dla całego ruchu górnośląskiego, oraz westfalskiego.

Do pana Marcina Biedermanna, wydawcy i kierownika „Pracy", jako do najlepiej poinformowanego, udał się jeden z przyjaciół naszego pisma i uzyskał dla informacyi naszych czytelników następujący barwny opis interesujących szczegółów w sprawie aresztowania p. Rakowskiego:

„Już w piątek w nocy zauważył pan Marcin Biedermann, że trzy osobistości, zdające się należeć do policyi, stały na warcie przed wydawnictwem „Pracy" przy ulicy Rycerskiej. W sobotę uczynili współpracownicy „Pracy" to samo spostrzeżenie. W nocy z soboty na niedzielę, by się przekonać, że za nim śledzą, pan Biedermann wyszedł z domu, szedł przez Wilhelmowski plac i zauważył, że jeden z tajemniczych mężów w oddaleniu, lecz krok w krok, pomimo silnego deszczu, za nim postępuje. Człowiek ów ubrany był po cywilnemu, wysoki mężczyzna, z blond wąsem, podbródkiem, w czarnym paltocie i miękkim kapeluszu. Widocznie był to agent policyi politycznej, tak silnie w Poznaniu reprezentowanej.

Pan Biedermann wśród ulewnego deszczu, by się ostatecznie przekonać o charakterze tajemniczego jegomościa, skręca przez plac Wilhelmowski ku poczcie. Agent trop w trop również ku poczcie. Pan Biedermann wykonuje nagle nowy zwrot ulicą Wilhelmowską ku Bazarowi.

Tymczasem wybiła godzina pierwsza w nocy. Ulice puste, deszcz leje jak z cebra, a duch opiekuńczy coraz bliżej i bliżej kroczy za wydawcą „Pracy". Ten postanowił wtedy użyć fortelu godnego świętej pamięci Zagłoby. Od Bazaru przyspieszył kroku i znikł w ciemnem zagłębieniu ulicznem przy kościele św. Marcina, gdzie cicho przystanął. Tajemniczy towarzysz pędzi za nim, nie spostrzega go, mija go, zatrzymuje się niepewny przy Piekarach, poczem z nagłą decyzyą biegnie przez ulicę św. Marcina.

Teraz zmieniły się role. Za policyantem biegnie, lecz po cichu, pan Biedermann. Nieszczęsny agent całkiem stropiony, idzie znów na ulicę Rycerską przed wydawnictwo „Pracy". Tam oczekiwały go już znaczne posiłki, jeden agent po cywilnemu, a drugi w uniformie. Swierdziwszy tym sposobem taktykę i charakter tych panów, przystąpił do nich p. Biedermann i śmiało im zajrzał w oczy.

Na to oni się rozeszli zmoknięci i skonfudowani. Było już około pół do drugiej w nocy. Cała nocna gonitwa po mokrych i pustych ulicach poznańskich trwała około godziny.

Na drugi dzień, w niedzielę, otrzymuje pan Biedermann od dra Rakowskiego z Krakowa telegram, że przejeżdża przez Wrocław i że pragnie się tamże spotkać z swym przyjacielem, naznaczając jako punkt spotkania restauracyą Kępińskiego przy ulicy Oławskiej.

Zatelegrafowawszy na wszelki wypapek do Krakowa, by dr. Rakowski nie przyjeżdżał, gdyż grozi mu niebezpieczeństwo, a prócz tego chcąc go w danym razie osobiście przestrzedz, postanowił p. Biedermann wyjechać pospiesznym pociągiem do Wrocławia, przypuszczając, jak się niestety stwierdziło, że depesza do Krakowa wysłana, przyjdzie za późno.

Do hotelu pod „białym orłem" naprzeciw Kępińskiego w Wrocławiu bał się pan Biedermann telegrafować.

Przyjechawszy na dworzec kolejowy poznański kupuje p. Biedermann bilet i oto znowu stoi przed nim zagadkowa postać z pogoni nocnej. Na zadowolonej twarzy owego pana można było wyczytać, jak pożądaną mu jest podróż wydawcy „Pracy".

Położenie było krytyczne. Jechać, czy nie jechać. Przeważyło to ostatnie. Pan Rakowski już był w Wrocławiu o tej porze. Policya widocznie go oczekiwała i ostatnia nadzieja ratunku polegała na tem, by jechać do Wrocławia i tam, jeżeli to będzie możliwe, przestrzedz pana Rakowskiego. Nadzieja ta co prawda była słaba.

Tajemniczy pan oddalił się nieco od pociągu i zdawało się, że nie ma zamiaru wsiadania. Wobec tego spróbował p. Biedermann szczęścia i wskoczył do jednego z tylnych wagonów.

Zamykają drzwiczki, słychać sygnał

do odjazdu, gdy wtem do tajemniczego blondyna przyskakuje jakaś inna osobistość, szepcze mu coś do ucha i jednym susem wskakuje do biegnącego już pociągu, poczem lokuje się naprzeciw wydawcy „Pracy".

W głowie p. Biedermanna snuły się różne fortele. Główny z nich opierał się na nadziei, że może p. Rakowski nie będzie czekał w hotelu lub naprzeciw u Kępińskiego, lecz na dworcu. Tak się też stało.

Gdy pociąg zajechał, stoi p. dr. Rakowski w towarzystwie jeszcze jednego pana na peronie. Na to pan Biedermann tłoczy się do okna, odsuwa nieco agenta, do którego plecami się obrócił i ręką daje znak panu Rakowskiemu i jego towarzyszowi. Agent tego ruchu nie mógł spostrzedz, ujrzeli go natomiast obaj panowie na peronie i nie witając się wcale z p. Biedermannem znikli w tłumie. Fortel chwilowo się udał.

Agent też widocznie przypuszczał, że może p. Rakowski będzie na dworcu. Rozglądał się bowiem na peronie, jakby szukając kogoś. Przystąpił do niego jakiś wysoki jegomość, wytwornie ubrany, i zaczęli się naradzać. — Korzystając z chwili, gdy mieli głowy odwrócone, p. Biedermann skoczył w bok i znikł w cieniach gmachu dworcowego, nie spuszczając ich swoją drogą z oka.

Po drugiej stronie dworca czekał p. Rakowski ze swym towarzyszem. — Tymczasem agenci wsiedli do dorożki i jechali ku miastu.

P. Biedermann, wytrawny w przeprawach z polityczną policyą pruską, z góry nie wykluczał możliwości, że jadą wprost do restauracyi Kępińskiego. Wprawdzie, jak wiadomo, według ustaw pruskich telegram jest urzędową tajemnicą, telegraficzne „rendez-vouz", dane przez p. Rakowskiego depeszą z Krakowa do Poznania wysłaną, na pozór zatem nie mogło być znanem policyi. Ale dzieją się czasem cuda, zwłaszcza w sprawach, w które wmięszana jest polityczna policya. Niewytłomaczonym sposobem stwierdziła się obawa p. Biedermanna.

Po odjeździe agentów z przed dworca, rozmówił się spokojnie z p. Rakowskim, poczem pojechali w dwóch dorożkach ku miastu. P. Biedermann udał się do restauracyi Hansena wraz z towarzyszem. P. Rakowskiemu zaś radził, by skorzystać z udanego fortelu, który policyą stropił, i udawszy się na dworzec, najbliższym pociągiem wracał za granicę. Lecz dr. Rakowski, nie czując się winnym żadnego przestępstwa, oświadczył, że pojedzie dalej do Berlina.

Wiedząc już, że agenci osobiście go nie znają, tylko razem z p. Biedermannem poznać go mogą, puścił się dr. Rakowski sam ku ulicy Olawskiej, by się przekonać, czy agenci czekają przed Kępińskim.

Rzeczywiście tam byli. Cud był widocznym. Wiadomość, zawarta w telegramie wiadomą była policyi. P. Rakowski, obejrzawszy sobie dokładnie swych serdecznych przyjaciół, wrócił zadowolony do restauracyi Hansena, przy ul. Świdnickiej, gdzie spożył z p. Biedermannem i drugim towarzyszem wieczerzę.

Następnie udali się wszyscy trzej panowie do hotelu pod „białym orłem" gdzie niewymieniony towarzysz, Vester z „Pracy," pożegnał się z obu panami i wyjechał za granicę.

Pan dr. Rakowski miał zamiar nazajutrz wyjechać dalej do Berlina do dra Virchowa. Lecz zatrzymał się jeszcze przez cały dzień w Wrocławiu, by odwiedzić kilku znajomych. Przed hotelem znaleźli się znowu agenci w przebraniu.

We wtorek rano około godz. 9 zapukano nagle silnie do drzwi numeru. P. Biedermanna w tej chwili nie było w pokoju.

Weszło dwóch panów. Na to wraca p. Biedermann. Pytają go się natychmiast, kto jest jego towarzysz.

— Jakiem prawem weszliście tu i kto was upoważnia do tego pytania? odpowiada im na to wydawca „Pracy."

Lecz agenci wyciągają z zanadrza mandat prokuratoryi pruskiej z rozkazem aresztowania dr. Kazimierza Rakowskiego.

Byli to dwaj komisarze policyi pruskiej. Na dole czekała uzbrojona straż policyjna.

— Kim jest ten pan — zapytują powtórnie policyanci.

— To mój brat — odrzekł p. B.

Lecz dr. Rakowski wyciągnął kartę wizytową i śmiało zawołał:

— Oto jestem. Macie mnie.

P. Biedermann oświadczył wtedy policyantom, że nie wielką była ich sztuka, gdyż dr. Rakowski wiedział już od niedzieli, że go śledzą dniem i nocą i że tylko w poczuciu swej niewinności wobec prawa nie korzystał ze sposobności ucieczki. Ten który chciał wyjechać, wyjechał.

W kącie pokoju stał duży kufer wydawcy „Pracy", w którym było dużo papierów i broszur, przeznaczonych dla Górnego Śląska. Ten kufer chce zamknąć p. Biedermann, w celu opuszczenia hotelu. Lecz agenci kładą areszt na kufer. P. Biedermann protestuje energicznie, reklamując swoją prywatną własność. Lecz nic nie pomaga. Agenci trwają przy swojem i naglą, by iść z nimi. Polscy panowie wobec tego zabierają się w drogę. Na to jeden z agentów do p. Biedermanna:

— A cóż kufer?

Lecz p. Biedermann najspokojniej w świecie odpowiada:

— Kiedy go pan potrzebujesz, nieś go pan sam, ja go nie ruszę. Zresztą możesz go pan nie brać. I owszem.

Rad nie rad agent zabrał się do kufra. Nie było nikogo ze służby pod ręką i musiał ciężką pakę nieść po schodach, stękając i zadyszany. Na dole zebrało się tymczasem mnóstwo ludzi. Agenci chcieli więźnia swego transportować pieszo — lecz obaj Polacy oświadczyli, że nie ruszą się z miejsca, tak że musiano zawezwać dorożkę.

W prezydyum policyi czekał już wyższy urzędnik na przybycie więźnia.

Pan Biedermann pożegnawszy się z p. Rakowskim, powrócił do Poznania.

P. Rakowski oświadczył radzcy policyjnemu, że wrażenia swoje z zetknięcia się z policyą, sądownictwem i więzieniami pruskiemi wyda w książce.

Obecnie kursuje po mieście pogłoska, że p. Rakowski został przewieziony do Poznania."

* * *

Przy tej sposobności oznajmiamy szanownym Czytelnikom naszym, że na Górnym Śląsku zakładamy osobną filię wydawnictwa „Pracy" i to w sercu górnośląskiego ruchu — w Katowicach. Skład redakcyjny dla spraw specyalnie górnośląskich już ukompletowany, a biuro redakcyjne otwartem będzie już w początku przyszłego tygodnia. Szanownych Czytelników i Przyjaciół na Górnym Śląsku prosimy, ażeby zechcieli zachować łączność z naszą redakcyą, zasilać nas informacyami i tym więcej udzielali nam poparcia, im więcej wrogowie spójnie nasze rozrywać usiłują. Pragniemy każdemu zakątkowi górnośląskiemu poświęcać uwagę baczną i z każdym mieć nić braterskiej łączności. Wspólna miłość, wspólna praca!

Redakcya.

* * *

Przyjaciołom i czytelnikom galicyjskim, którzy dotąd byli w stosunkach lub pragnęliby je zawiązać z filią „Pracy" w Krakowie, zawiadowaną przez d-ra K. Rakowskiego, komunikujemy, iż stosunki te żadnej przerwy nie doznają, że biuro filialne jest otwarte i oddane w zarząd odpowiedniemu zastępcy. Adres jak dotąd tak i nadal:

„Filia wydawnictwa „Pracy", Kraków, ul. św. Jana nr. 18."

Teatr.

Uprzywilejowany dzień premiery — sobotę — święci publiczność nasza skrupulatnie. Wszyscy, którzy chcą, aby ich widziano, zapełniają loże, i przynajmniej w ten jeden wieczór w tygodniu nie grają aktorzy przed pustą widownią. — Bardzo to względnie i łaskawie ze strony naszej publiczności. — Pamięta także o naszym teatrze sama z siebie — tak samo jak sama bez nawoływań i zaklinań pamięta o niemieckiej scenie. — Bajeczne poczucie sprawiedliwości! — Głoszą gazety hakatystyczne o zajadłem bojkotowaniu firm i instytucyi niemieckich przez ogół nasz. Gdyby się ci panowie apostołowie hakaty rozejrzeli po widowni niemieckiego teatru, osłupieliby stanowczo. Tam w instytucyi, poświęconej niemieckiej sztuce, publiczności polskiej nieledwie tyle co w polskim teatrze. I to nie jakiejś zamiejscowej publiczności polskiej, którejby nieznane być mogły warunki bytu niemieckiej sceny, ani nie publiczności z wysokich sfer arystokracyi, którą dumne mieszczaństwo nasze tak chętnie pomawia o narodową obojętność — ale właśnie ze sfer naszego t. zw. zdrowego, rozsądnego mieszczaństwa, chełpiącego się, że z ich szeregów wyłania się odrodzenie narodowe. — Na wiecach zrywają sobie gardła patryotycznem krzykactwem, a wieczory spędzają z rodziną w niemieckim teatrze na przedstawieniu „Cavallerii“ lub „Bajazzów.“ — O mieszczaństwo nasze!

Trudno! musimy zasięgnąć pomocy satyrycznego „Bociana.“ Niech naostrzy dziób i po przedstawieniu stanie przed drzwiami niemieckiego teatru. Niech wtedy nie oszczędza nikogo, ale długim swoim dziobem niech wyławia ze społecznego bagna wstrętne mięczaki, aby hańba zaślepionych i bezwstydnych jednostek nie spadła na społeczeństwo. Mieszczaństwo nasze całe winno się wziąć za ręce i nie pozwolić wyrodkom kalać imienia swego.

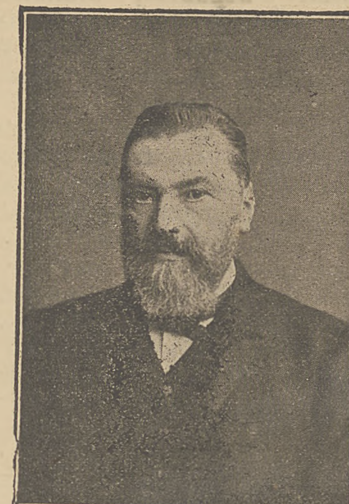
Nieco długi nawias. Ale potrzebny. Wróćmy do naszego teatru. — W sobotę ostatnią wznowiono: „Chorego z urojenia“ Moliera. Ojciec komedyi nowoczesnej, jak go zwą, zachował mimo rozdziału dwóch wieków prawdę życiową. Jego humor jednakże, pomimo że dla współczesnych był szczytem komizmu i humoru, na nas nie wywiera już tak silnego wrażenia. — Ot postarzał się. — Karykaturalne charaktery, wyrwane z życia, przestały nas bawić, jeżeli nie wystąpują w zabawnych sytuacyach. Plastyczne odtworzenie śmiesznych stron człowieka może nam także dać powieść, nowella, satyra. — Jeżeli mamy w teatrze się bawić, potrzeba nam więcej: komicznej akcyi. Gust się zmienia: w życiu podobno co siedem lat, w literaturze wolniej, ale zmienia się również.

Molierowski „Chory z urojenia“ nie wychodzi z pod opieki lekarskiej. Setki franków płaci miesięcznie przybocznemu lekarzowi swemu za łokciowe recepty. Trzyma się ich sumiennie. Nie dosyć jednakże na tem, że sam duszą i ciałem zaprzedał się medycynie, pragnie jeszcze mieć zięcia lekarzem, aby mieć w rodzinie medyka — dlatego postanowił wydać córkę za młodego lekarza, synowca przybocznego swojego opiekuna. Konkurent nie przypada jednakże pannie bynajmniej do gustu. Robi na niej po pierwsze idyotyczne wrażenie, po drugie, serce jej zajęte pięknym Kleantem, którego poznała przypadkowo. Ojciec jednakże o Kleancie ani słyszeć nie chce i stawia ultimatum: albo pójdziesz za młodego lekarza, albo oddam cię do klasztoru. To oddanie do klasztoru to plan młodej drugiej żony pana ojca. Posłałaby chętnie pannę do klasztoru, aby z chwilą śmierci męża być panią majątku. — I byłoby bardzo smutno, gdyby się nie wdał w rzecz brat „Chorego“ — i dowcipna pokojówka. Brat „Chorego“ nie pozwala temuż zażyć raz przepisanego lekarstwa, wskutek czego przyboczny lekarz wpada w taki szał gniewu, że zrywa wszelkie stosunki z „Chorym“, nadto wydziedzicza synowca swego, jako przyszłego zięcia „Chorego“. „Chory“ jest w rozpaczy. Wtedy sprytna pokojówka przebiera się za wędrownego lekarza i konsultacyą swą ośmiesza tak ówczesnych napuszonych adeptów medycznych, że „Chory“ traci potroszę do nich zaufanie. Następnie namawia swojego pana, aby w celu przekonania się o miłości żony i córki, udał umarłego. „Chory“ daje się namówić — i wtedy przekonuje się, że żona jego serdecznie się cieszy z jego śmierci, podczas kiedy córka w rozpaczy nad nią ubolewa. Naturalnie, już nie chce jej oddać do klasztoru, tylko zezwala na małżeństwo z Kleantem.

P. Zejdowski grał „Chorego.“ Był chorym, ale był raczej chorym, który mimo prawdziwego cierpienia krzepi się własną energią, niż zdrowym, który na chorego choruje. — Pomimo to potwierdzamy wyrażone dawniej zdanie o nim, że każdą rolą umie dowieść wysokiego uzdolnienia swego. — Świetną, wesołą filuterną, dowcipną pokojówką była p. Podgórska. P. Michnowska była rozkochaną pasterką. Zastosowała się znakomicie do tła i tonu sztuki. — Pp. Berski i Solnicki jako lekarze: ojciec i syn byli bardzo dobrzy. P. Solnicki, którego pierwotnie skłonni byliśmy posądzać o zbyt hałaśliwy temperament, dowiódł, że umie równie dobrze ustroić się w przesadzoną i śmieszną powagę. *Ali.*

†

Nekrologia.



Ś. p. Zygmunt hr. Skórzewski.

Znów jedna z najznaczniejszych rodzin wielkopolskich okryła się ciężką żałobą, której echo znajdzie rozgłos i współczucie po całej Polsce i Litwie.

W Czerniejewie umarł dnia 6 b. m. ś. p. Zygmunt hr. Skórzewski, ordynat i dziedziczny członek izby panów.

Był to wielce dodatni typ pana polskiego, a jeżeli nie brał zbyt czynnego udziału w ruchu społecznym i politycznym, to z energią i umiejętnością potrafił pełnić najbliższe obowiązki człowieka, bliźniego, obywatela. Zostawił, jak na nasze stosunki, kolosalną fortunę, nie uronił z niej ani skiby, owszem podwoił ją, a dzielność jego ekonomiczna niech jasnym przykładem przyświeca następnym pokoleniom. Przytem był dobroczynnym na wszystkie strony, ale bez rozgłosu i chełpliwości. Prawdziwym był ojcem swych urzędników, służby i robotników. Mówiono, że skoro kto dostał się na urząd w jego szerokiej administracyi, miał już byt zapewniony na dożywocie. Służba była także prawie dziedziczną. Z licznych jego dzieł chrześciańskich wiemy także o znanym i hojnej ręki udziale w sprawie poznańskich kolonii wakacyjnych w Kobylnicy. W uznaniu tych zasług powołanym został zmarły do zarządu kolonii.

Na każdy cel wzniosły hojną łożył ręką, czego zresztą świadkami są łamy pisma naszego.

Dla ludu swego był najlepszym panem, tak dalece, że dzielił chętnie z nim smutek i radość w rodzinach. Każdy orszak weselny z jego dóbr musiał zajechać przed pałac, żeby otrzymać wyraz życzliwości od dobrotliwego dziedzica.

Dwór czerniejewski był wogóle siedzibą polską, patryarchalną, w której wiara i patryotyzm kwitły nie w słowach, ale czynach nawet codziennego życia.

Wykształcenie wysokie zdobył sobie zmarły nie tylko w szkołach i na uniwersytetach, ale mianowicie w podróżach, po Wschodzie, w Egipcie, Palestynie. Europę zwiedził całą, a towarzyszyli

mu literaci i artyści. Śledził z zajęciem cały ruch umysłowy polski i brał udział radości z każdej zdobyczy polskiej, czy to na polu nauki, sztuki, przemysłu i wszelakiej zarobkowości. Był też najwierniejszym czytelnikiem pisma naszego.

Posiadał wspaniałą bibliotekę ordynacką, którą z wielkiem zamiłowaniem utrzymywał i powiększał. W bibliotece znajduje się unikat, biust Napoleona I, dłuta Canovy.

W parku pałacowym wystawił zmarły pomnik ś. p. ks. Onufremu Kopczyńskiemu, pierwszemu gramatykowi polskiemu, który pochodził z Czerniejewa. A dlatego w parku, że władze nie pozwoliły na postawienie pomnika w rynku miejskim — z polskim napisem.

Jako wierny syn kościoła i hojny opiekun potrzeb jego, otrzymał od Ojca św. order Grzegorza. W czasie kulturkampfu brał czynny udział w tej wielkiej walce duchowej. Kilkakrotnie przemawiał wtedy w pruskiej izbie wyższej, w obronie zagrożonych praw świętych.

Nie doczekał się zmarły końca odnowienia kościoła w Czerniejewie, które wraz z parafią podjął znacznym sumptem. Budował i odnawiał też inne kościoły.

Tak samo był wzorowym obywatelem pod względem narodowym. Że tylko dziś wspomnimy o fakcie z przed 2 miesięcy. Czerniejewo wieś chciano przechrzcić na „Schwarzenau“. Chory hrabia kazał się zawieść do lokalu, w którym miała zapaść odnośne uchwała decydująca i wspólnie z resztą czynników wezwanych odpara ten zamach na jego ukochane dziedzictwo, odwiecznie polskie, a po kądzieli przejęte z majątków rodziny Lipskich.

Urodził się 29 września 1828 roku. Ożeniony był z Konstancyą hr. Potulicką, a pozostawił 3 dzieci: ordynata Włodzimierza, Witolda na Komorzu, ożenionego z Radziwiłłówną, i córkę Maryą, dziś księżnę Michałową Ogińską z Płungian.

Cześć pamięci najzacniejszego obywatela!

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mrk., czyli 1 koroną 32 hal.

W najświeższym zeszycie 42-im „*Czytelni Polskiej*“ rozpoczęliśmy bardzo sensacyjną i nadzwyczaj interesującą kilkotomową powieść oryginalną — szkic historyczny przez Jana Nepomucena Czarnowskiego

p. t.

„Biały Grzegorz.“

Nowoprzybyli abonenci otrzymają początek tej powieści gratis.

Wiadomości.

— *Czterech redaktorów w więzieniu.* Uwięzienie jednego z głównych współpracowników naszego tygodnika, p. dra Rakowskiego, w chwili, gdy trzech redaktorów odsiaduje długotrwałą karę więzienną, jest ciężkim ciosem wymierzonym w nasze wydawnictwo.

Potrzeba tym więcej energicznego poparcia i szczerej życzliwości ze strony Czytelników naszych, im cięższe zadają nam straty. Dlatego zwracamy się do wszystkich z gorącą prośbą, ażeby przez zachętę do abonamentu wśród przyjaciół i znajomych swoich zechcieli nam ułatwić powetowanie klęsk ustawicznie zadawanych. Do każdego numeru dołączony jest formularz abonamentowy.

Czytelnicy, liczymy na Was!

— **W Łędzinach** na Górnym Śląsku założyliśmy nową agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ u p. *Michała Piecka*.

— **W Dorocie** G. Sl. znajduje się agencya „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ w księgarni p. *M. Blachuta* przy ul. Ogrodowej.

— **Agenturę** „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ w *Castropie* powierzyliśmy p. *Michałowi Kaczmarkiewiczowi* — księgarnia polska.

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 19-go b. m. po raz pierwszy od lat wielu cała opera Kurpińskiego: „Krakowiacy i Górale“. Prześliczny utwór pełen głębokich myśli, przepełniony śpiewami i tańcami, starannie wypróbowany, stanowić będzie zapewne prawdziwą atrakcyę dla publiczności wszystkich sfer, oddawna tęskniącej za dziełem muzycznem poważniejszego pokroju na scenie polskiej.

W niedzielę, dnia 20-go b. m. wieczorem „Krakowiacy i Górale“, opera narodowa w 3 aktach K. Kurpińskiego po raz drugi, a w niedzielę po południu o godzinie 3-ej po cenach do połowy zniżonych „Panie Kochanku“, komedya kontuszowa.

— **Bank Związku Spółek Zarobkowych** w Poznaniu przyjmuje depozyta i płaci zależnie od długości wypowiedzenia od $3^1/_2$ do $4^3/_4$ procent. Poleca swe konto czekowe, kupuje i sprzedaje listy zastawne i wszelkie inne wartościowe papiery tak krajowe jako też zagraniczne.

— **Bank** Parcelacyjny w Poznaniu na **Piekarach nr. 18** prosi swoich interesentów **bardzo**, aby wszelkie przesyłki dla uniknienia kwarantanny adresowali w następujących 3-ch słowach: **Bank Parcelacyjny** Posen, bo liczne zażalenia jego do najwyższej instancyi były dotychczas bezowocne, a interes wymaga przecież szybkiego załatwienia spraw. Wyniki procesowe przeciw poczcie podamy po ukończeniu procesów do wiadomości na tej samej drodze.

— **Pan A. Denizot**, właściciel renomowanych szkółek w Poznaniu, przy ulicy Kolejowej 45, poleca wszelkie drzewa i krzewy owocowe, oraz ozdobne do parków i ogrodów. Cenniki na żądanie gratis i franko.

— **Pani J. Gulińska** otworzyła w Poznaniu, ul. Berlińska 12, gabinet dentystyczny, na co zwracamy uwagę Szanownej Publiczności.

— **Ks. Michał Wituski** ze Spławia pod Poznaniem otrzymał od księcia Reuss prezentę na probostwo w Niepruszewie, opróżnione przez śmierć ś. p. ks. prob. Jordana. Konsystorz arcybiskupi prezentę zatwierdził.

— **Ślub.** W Kościelcu w Poznańskiem pobłogosławiony został dnia 15-go b. m. związek małżeński pomiędzy panną Rozalią Ponińską, córką zasłużonego obywatela Adolfa Ponińskiego i Zofii z hr. Czapskich, a panem Teodorem hr. Żółtowskim z Nekli, synem Teodora i ś. p. Franciszki z Niemojowskich. Obrządku ślubnego dokonał stryj panny młodej ks. prałat Poniński. Szczęść Boże młodej parze!

— **Król polski Jan Sobieski** miał przykrą przygodę w Bruchu. Jak bowiem pisze bochumski „Wiarus“, za to, że pod Wiedniem Niemców obronił przed Turkiem Niemcy w Bruchu tak mu się odwdzięczyli, że nawet jego obrazu nie cierpią w publicznym lokalu. Obraz ten wisiał już od kilku lat w sali, w której się także wiec niedzielny odbył. Dopiero podczas wieca spostrzegł go pisarek policyjny z Dortmundu, który był na wiecu jako tłomacz. Ze strony policyi zaraz też zażądano zdjęcia obrazu, lecz gościnny oparł się temu, uznając, że Polacy słusznie uważaliby za prowokacyą, gdyby poszedł podczas wieca zdejmować ze ściany obraz króla Sobieskiego, zrobiono to więc dopiero po wiecu.

Od Redakcyi.

Panu A. B. w Wanne. — Pani O. wyjechała z więzienia policyjnego do domu dwukonną dorożką.

Panu Pal. w Skrzyszowie p. Ropczyce (Galicya). — Wiersza nadesłanego zamieścić nie możemy ze względów prasowych.

Panu dr. K. w T. — Dziękujemy serdecznie za łaskawą pamięć i zainteresowanie się. Powieść tę dostaniemy prawdopodobnie, lecz nie prędzej, jak pół roku później od czasu, w którym „Kuryer Poznański“ druk jej rozpocznie.

Towarzystwu Przemysłowców polskich w Wrocławiu. — Notatka o walnem zebraniu w dniu 14-ym b. m. doszła nas za późno, już po wydrukowaniu numeru na dzień 13-go b. m. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie notatki.

Panu W. Śl. w Wągrówcu. — Zasięgnij Pan informacyi u p. M. Andrzejewskiego — Spółka stolarska — w Poznaniu na Grobli.

P. Szulczewski Lubin. — Życzone numery „Pracy“ zupełnie wyczerpane.

HUMORYSTYKA.

Przez ulicę miasta pomyka samochód. Ulicznik jakiś uczepił się z tyłu za maszyną i używa jazdy.

Ulicznik drugi, wskazując właścicielowi samochodu uczepionego z tyłu wyrostka:

— Batem go, batem!...

Zachwycająca regulacya.

Stroskany papa do zakochanej córki:

— Moje dziecko, jakże to będzie? Kochasz pana Karola, ale on ma ogromne długi. Trzebaby choć ułożyć się z wierzycielami.

— Jużeśmy to ułożyli, proszę papy. Postanowiliśmy, że wszystkie długi weźmiesz na siebie...

W lesie był termin na drzewo, a że było zimno, więc chłopi popijali wódkę i przed sprzedażą już zalali sobie czupryny tak, że przyszło do kłótni i do bijatyki.

— Aj! waj! — zawołał żyd, któremu się też dostało po grzbiecie — tu już przybijają, a jeszcze nikt nie licytował!

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate November und Dezember die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 84 Pf.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 84 Pf. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das lauf. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska"

(Abtheilung II. t. poln. 14 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den..............................

Kaiserl. Post..............................

Prosimy odciąć.



Szczęście matki.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“